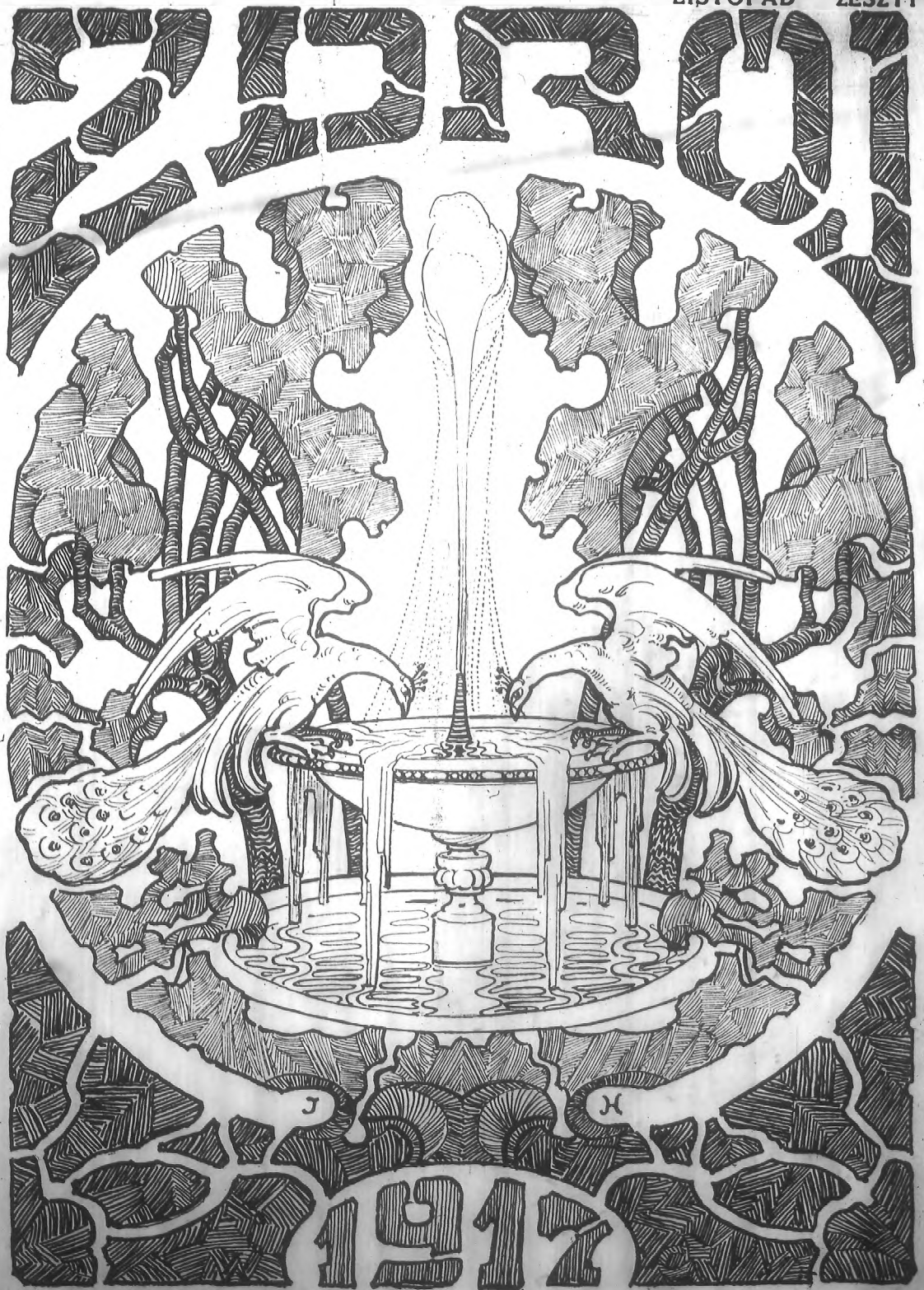




ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYSŁOWEJ

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.
ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: „Zdrój” Poznań — Plac Wilhelmowski 17.

Prenumerata roczna (na pocztę) — 40 marek, **półroczna** — 20 marek, **kwartalna** — 10 marek.
Zeszyt pojedynczy 2 marki. — **Przesyłka pod opaską** 15 fen. za zeszyt.
OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCYI: **Rękopisy** zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu nieczytają się bez czytania. — — —
Redakcja nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.

S. KALAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

Dla Pan		Dla dzieci		Dla panów	
Bluzki	Pończochy	Sukienki	Torebki	Skarpety	Szelki
Gorsety	Rękawiczki	Trykoty	Kołnierzyki	Rękawiczki	Trykoty
Halki	Kołnierzyki	Fartuszki	Kapelusze	Krawaty	Parasole
TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.					

„Westa“

Bank Wzajemnych Zabezpieczeń na życie

Rok założenia
1873

w Poznaniu

Rok założenia
1873

Zawiera wszelkiego rodzaju ubezpieczenia
na **dożycie**, na **wypadek śmierci**, na
posag z rewizją lekarską i bez rewizji

W razie przedwczesnej niemocy zwolnienie
— od spłaty składek i płatność renty —

Niskie składki

wzrastające dywidendy

dogodne warunki

Ubezpieczenia ryzyka wojennego przyjmuje się
— i w czasie wojny —

Siedziba dyrekcyi w Poznaniu
w własnym gmachu św. Marcin 61

Oddział w Warszawie: Aleje Jerozolimskie 31
Agencye specjalne w każdym większym mieście.

Stefanja Różycka

— udziela —

lekcji śpiewu, przygo-
:-: towuje do sceny :-:
i estrady koncertowej

— poleca —

do agencji teatralnych
:-: i koncertowych :-:

Berlin-Halensee, Ringbahnstr. 10.
Tel. Uhl. 1434.

Zapisy od 20-tego Października.
Przyjmuje między 3—4.



Z D R Ó J

ROK 1 1917
LISTOPAD. ZESZYT 3.

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYSŁOWEJ :: :: ::

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: OSTOJA — POZNAŃ. PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Pamięci Tadeusza Kościuszki — Redakcyja „Zdroju” (przyczył Jerzy Hulewicz). Z przemówień Adama Mickiewicza. Działo biało w Wogezach. Impromptu erotyczne. Spleen — Adam Bederski (rysunek Jana Wronieckiego). Opowieść rybaltu, powieść (C. D.) — Wacław Berent (przyczył Jerzy Hulewicz). U poetów (Teodor Tutezew) — Miriam. Książec przybierający (C. D.) — Rabindranath Tagore (spolszczył Jan Kasprowicz), przyczył Jerzy Hulewicz. Znajda (C. D.) — Aleksander Olkiewicz (przyczył Jerzy Hulewicz). Muzyka w Polsce po Chopinie (C. D.) — Adolf Chybiński (przyczył Jerzy Hulewicz). Dostojne serca — Jan Chelmirski (przyczył Jerzy Hulewicz). Miscellanea.

PLANSZA: Tadeusz Kościuszko — rzeźba Marcina Rożka.

PAMIĘCI TADEUSZA KOŚCIUSZKI.

W obliczu Boga, w obliczu całego rodzaju ludzkiego, a mianowicie przed Wami, narody, w których wolność jest wyżej ceniona nad wszystkie dobra świata, iż, używając niezaprzeczonego prawa odporu przeciwko tyranii i zbrojnej przemocy, wszyscy w duchu narodowym, obywatelskimi i braterskim łączą w jedno siły swoje... wyrzekają się wszelkich przesądów i opinii, które obywateli, mieszkanców i synów jednej Ojczyzny dotąd dzieliły i dzielić mogą i zaręczają sobie nawzajem nie oszczędzać wszelakich ofiar i sposobów, jakich tylko święta miłość Wolności dostarczyć zdoła...”

Ten akt kościuszkowski z dnia 24go Marca 1794 r., w obec którego błędnie Ustawa Trzeciego Maja, deklaracya Stanów Zjednoczonych traci na swej wartości, bo była niejako tylko usankcjonowaniem istniejących już warunków, a ogłoszenie „praw człowieka” w Francyi raczej na zimną filozoficzną ideologię wygląda — jest czemś więcej, aniżeli przygodnym, chociażby i najgorętszym manifestem politycznym.

Słowo, jest to, według Stanisława Potockiego, glob, mający dwie półkule: jedną niewidomą i jedną dotykalmą, jedną niebieską, drugą ziemską — jest to duch i ciało, uzupełnia Mickiewicz, CZŁOWIEK CAŁY — i w słowach aktu krakowskiego ukazuje się nam ten człowiek cały, jeden z najpiękniejszych, jakich Polska wydała:

TADEUSZ KOŚCIUSZKO.

Tadeusz Kościuszko był czemś więcej, aniżeli generałem wojsk amerykańskich, walczących o Wolność — to najmniejsza jego zasługa — był jeszcze czemś więcej, aniżeli naczelnikiem powstania i dyktatorem narodu — wartościowanie wielkości tych mężów jest bardzo względne i zależy przeważnie od ich powodzenia — Kościuszko jest przede wszystkim ucieleśnieniem Duszy Narodu, jego wewnętrznym ogniem, którego częsteczką żyje każdy osobnik, przynależący do narodu.

Bóg sam, by przemówić do ludzi, obierał sobie na to człowieka — wybraną jednostkę, wyższą i doskonalszą nad inne jednostkę, w której duszy niepomiernie większa ilość świętego ognia się pali, aniżeli w innych duszach, w której płomień tego ognia nabiera takiej potęgi natchnienia, że ta święta łaska w Czyn się przeobraża i słowo natchnione ciałem się staje.

Bóg przemówił przez Syna Człowieczego i Słowo Ciałem się stało: Słowo umęczone, ukrzyżowane, poniewierane, tysiąckrotnie spalone, w nowej potęgę do nowego życia się odradzające, przetrwało tysiące wieków i przetrwa je do końca.

Takoż Dusza Narodu Polskiego, cząstka Absolutu, jakim jest Bóg, w chwili najniebezpieczniejszego upadku, zgnilego marazmu, potwornego rozkładu, znalazła wielkiego Syna, świętego

pomazańca swego, przez którego narodowi objawiła się w całej swej niespożytej potędze, głosząc przez usta jego najczystsza i najgłębsza swą wartość i piękność; nałożyła na jego barki święte brzemie posłannictwa, które mu każe być nie tylko wieścicielem objawionych mu prawd, ale zarazem kierownikiem wszelkich spraw narodu.

I tem Objawieniem Duszy Narodu był Kościuszko: Słowo, wyrażające Istotność tego narodu, w nim się Ciałem stało.

Istotność, to znaczy ta przemożna Miłość, wyzbywająca się wszelakich „przesądów i opinii“, która każe generałowi-szlachcicowi zrzucić z siebie generalski kapeluszy i wołać do chłopcy polski: „Muszę mieć ręce wolne, abym Was mógł przycisnąć do serca mego“.

Istotność, to znaczy oburzony odruch przeciwko tym, którzy świętej idei Wolności, przez usta jego głoszonej, szli w poprzek: „Kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam!“, — to gorzkie oskarżenie duchowieństwa, że „powołanie, za którym idą, wytepiło w nich ducha obywatelskiej cnoty i to do swobód narodowych przywiązanie, przez które jedynie zasłużyć mogą na szacunek i wdzięczność powszechną.“

Istotność, to ta nieskończona Ofiarność i Poświęcenie siebie samego dla dobra Ogółu: „Nikt z Polaków nie może godziwie szukać szczególnego dobra, tylko w dobru powszechnym, nikt nie może myśleć o ocaleniu swych dostojności i majątków, tylko w ocaleniu Ojczyzny.“

Istotność, to owo dostojne poczucie niespożytej swej mocy, które przemawia w słowach wielkiego Naczelnika: „Narodzie! Racz poczuć Swą siłę, dobądź jej całkowitej, chciej być wolnym niepodległym!.. Umysł Swoj przygotuj do zwycięstw i do klęsk: duch prawdziwego patriotyzmu powinien w obudwóch zachować swą tęgość i energię.“

Istotność, to ewangeliczna wieść o równości wszystkich dzieci narodu polskiego: „Każdy ciemiężyciel i prześladowca włościan odtąd jako nieprzyjaciół Ojczyzny uważany i karany będzie,“ — to wspaniały uniwersał, nadany w obozie pod Połańcem dnia 7go Maja 1794, „urządzający powinności gruntowe włościan i zapewniający im skuteczną opiekę rządową, bezpieczeństwo własności i sprawiedliwość...“

Cóż znaczy w obec tych objawień duszy narodu klęska pod Maciejowicami? Ani więcej ani mniej, jak pierwsza lepsza epoka prześladowań chrześcijaństwa za czasów rzymskich cesarzy: żyjące Słowo, objawione nam przez Kościuszkę, było i jest początkiem wielkiej przyszłości, a „ile było wielkich narodów, twierdzi Mickiewicz, każdy powstał z jednego człowieka i jednej myśli i żył dla tego, żeby tę myśl zrealizował.“

I zaiste! Tym jednym człowiekiem, który wchłoniął w swą duszę całą przeszłość narodu... stał się jego obecnością, był Kościuszko, ale niedość było, by miał on przeszłość w sobie i był obecnością: „naród potrzebował ogniska, któreby mogło rozpalić wszystkie dusze płomieniem nowej miłości i nowej mocy — miłości wojującej i miłości, mimo wszystkich klęsk — zwycięskiej;“ i tem nigdy nie wygasłym ogniskiem żywego ognia, przy którym najwybrańsze dusze teraźniejszości i w nieskończonej przyszłości w coraz to większej mocy odradzać się i potęgować będą, to dusza Kościuszki.

Jeżeli ją z tej strony rozpatrywać będziemy — a zdaje się, jeszcze nie nadszedł czas, by duszę narodu, objawione Słowo, ucieleśnione w Kościuszcze, ogarnąć w całej jej niezmiernej i tajemniczej głębi — wtedy stanie się Kościuszko, dotychczas uwielbiany li tylko jako bohater narodowy, onym „arcytypem dla nowej sztuki,“ jaki Mickiewicz w Napoleonie upatrywał.

Dwie rzeczy przysłonięte były jasnowidzącym oczom tego wielkiego wieszczcy losów Polski: nie danem mu było widzieć potęgi Słowackiego i nie danem było mu dojrzeć w duszy Kościuszki tego, czego tak gorąco szukał w duszy Napoleona: tej wielkiej twórczej, natchnionej mocy, która w Czynie chwilowej porażki doznała, ale straszliwym męczeństwem uświęcona, stała się bramą, o którą rozbijają się wszystkie piekielne potęgi.

Nie jesteśmy zwolennikami uroczystych obchodów rocznic, jubileuszów, manifestacji i. t. d. ale tym razem korzystamy pohopnie z sposobności, aby wyrazić nasz najgłębszy i najpokorniejszy hołd temu, który „jak najwięcej przeszłości miał przytomnej w duchu i jak najwięcej przyszłości, stworzonej duchem i już w sobie zrealizowanej” — korzmy się przed Słowem, w którym Dusza Narodu się objawiła i w Czyn się wcieliła, uginamy kolana przed Słowem i Czynem: dwóch półkuli jednego globu, którego imię:

TADEUSZ KOŚCIUSZKO

Redakcja „Zdroju“.



Z PRZEMÓWIEŃ ADAMA MICKIEWICZA.

„...Ludzie epoki przeszłej, ludzie z duszą wyschlą i niezdolną do zapalu, używają wszelkich sposobów, żeby zatrzymać tych, co postępują naprzód. Ich giest jest giestem powstrzymującym... „Poczekaj! ostrożnie! nie zapalaj się!” to ich mowa, z kurczem ręki podobnym do chwytania się konającego, który zamiast poglądać w niebo, uczepia się stojących przy nim, jak gdyby chciał ich z sobą pociągnąć do grobu.”

„Zapał jednak, wzruszenie nadzwyczajne ducha, które wynosi człowieka nad jego samego, nie ma w sobie nic mistycznego, nic urojonego... Występek najcięższy ludzi starej epoki jest w tem, że to wszystko uznają za bardzo piękne dla poezji, dla sztuki, za godziwe i dobre w chwilach boju; ale w rzeczach właśnie *najwazniejszych*, najwięcej stanowiących, najświętszych w poszukiwaniu prawdy, w filozofii, w prawodawstwie regijnem i politycznem, mają tę iskrę za niepotrzebną, to płomień za niebezpieczne, skazują *zapał* na wygnanie...”

„Powtarzam, że pierwszym warunkiem dla człowieka dzisiejszego jest *podnosić się i rozpłomieniać*, że temu tylko warunkowi czyniąc zadość, zdoła on *zwalić* ludzi przeszłych, założyć w sobie kamień węgielny społeczności wolnej...”

Literatura Słowiańska — Lekcja z dnia 9 Stycznia 1844.

DZIAŁA BIJĄ W WÓGEZACH.

Głowę okulem bolesną rąk obręczą,
co w okół skroni mych drżały,
zapadłych.

Oczy patrzyły — zmartwiałe jeziora,
wulkanów wyżłuszonych kraterę.

Myślałem: stępały mych kos ostrza,
(ramiona ongi ku niebu się dały)
stępały drapieżnych koncerzy maczugi.

Oczy „patrzyły” — kraterę,
lustra ohydne.



W obłądny rytm uderzeń głuchych o twardą ziemi skorupę
w otyły tan gór rozlanych w przestrzeni:
dygoczą głową ogromną,
(Chryste, wszakże zimno patrzę i obojętnie:
miast z cierni korona mąk Twych z drutów uwita kolczastych)
rozwydrzonego menueta ruchom
biją takt oszalały czołem o pnie twarde lasów,
które są.

IMPROMPTU EROTYCZNE

Szkarłatny tan —
O — twarde niewolnic pięty biją w kotłów skóry,
Gongów tententy rdzawe budzą echa,
Gór niebieskie olbrzymy.

W jaskrawe rytmy obłąkańców sprośnych
kadłub tarzam po ziemi

(Matko, oto syn Twój pokorny,
oto serca udręka,
Matko, całuję Twe łono)

Twarz tłustego błota maskę wzięła żrącą —
i ślin puszystych w warg łuk lepki ciek.

Skaczę wysmukły derwisz w szklistej, ostrej pustce,
Wiernych nie widzę ni Boga.

Na horyzontach tylko ciężki oddech tub serafinowych,
I serca mego łopot,
— pogasną łuny —
I serca łopot —

SPLEEN.

Pamiętam:

dłonie dziecka samotne i miękkie
darty się żywem mięsem o stale sine
i ostre dalekiego nieba,
czerwienią mażąc celów wyblekłość.

Głos, co wypadał z ust
ku płomieniom wystrzępionym rozzólkłego życia
ginał,
by obcy i zimny legnąć w rozpadlin niechcianych martwicy.

Pochodnie zapalane krwią w dni trwogi,
i śmierć głupia, bez myśli, bez skurczy bolesnych,
bez nadziei.

Czarny krzew mych myśli powłókł się
stęchłym bielem natarczywego grzyba —

ręce powolnie rozkładam, szepcąc blademi wargi
jak mamrot rzeki szeleszczące,
puste słowa —

WACŁAW BERENT,

OPOWIEŚĆ RYBAŁTA.



owolny jak żółw i jak pień niemy linochód, melanholiens w kunszcie swoim przekładał tymczasem górą na linie swe nogi pajęczę. Czynił to ze statkiem i bardzo roztropnie. Więc rychło uprzykrzyli sobie ludzie te sztuki pedanta. I rozwałęśali się po rynku. Dalejże kuglice na swe pomosty i nużę znów skakać przez obręcze, ognie lykać, podkowsy łamać, — co który umiał.

Z tego nieładu wszystkich spektaklów naraz i rozpierzchliwości widzów starał się skorzystać gadkarz: skoczył żwawo na swój pomost i wabił ku sobie cwanami minami. Że zaś dzisiaj wszystkie już gadki, by najsprośniejsze, zdążył opowiedzieć ludziom, a ich szczodrość z pod chudej była fary; więc pozadrościwszy żonglerom w piekarniach, umyślił i on żonglerom na złość — tu, swoim ludziskom na rynku, opowiedzieć romans, — nie rycerski żaden, a grodzki: — każdy rad wysłucha powieści prawdziwej, zwłaszcza, gdy opowie rzeczy całkiem świeże.

Tedy powieść swoją tak chytrze grodzianom wykladał, że choć wyśmiewa wszystkich, każdemu się zdaje: — „o sąsiedzie gada!...” Więc słuchają wszyscy, i wszyscy są radzi: — „ten bo z życia bierze!...”

Siedzi gadkarz na pomoście, dzwoni sobie nogami nad gromadą ludzi — i prawi. A coraz to niecierpliwiej sztyję bokiem ku swej czapie wyciąga: — „datków coś bardzo niewiele!” — Więc skrzywi się i przerwie opowieść ciekawą. I już tylko w milczeniu nogami nad ludźmi wydzwania, wytrzymując na swej wardze spojrzenia ludzi.

„Nie dasz groszy żaden sknera?!... Djabli wezmą bohatera! — już się śmierć na niego czai!...”

Mieszczanie ze śmiechem, ich żonki z nadąsaniem dorzuca przecie coś niecoś do czapy.

I powieść gładko dalej się potoczy!... „Że zaś po miastach akapo, jak widać, jest wszędzie, na weselu tej panny wołu więc nie będzie! — Ale dobra pieczeń zawsze się smaży!...” I żongler o tej pieczeni długo, rzewnie gwarzy.

Aż skończy i zbierze aplauzu oklaski.

I ten nie chybiał powołania joculara: wygadzał twarze, ścierał smutki z oblicza świata: z widnokręgów ludzi swoich.

Tak myślał goliard, snując się po rynku. I marząc pewnie w skrytości, by choć raz jeszcze, raz jeden bodaj tylko! — jak to dawniej bywało, — mógł stanąć przed zacnym gronem oświeconych. Temi słowy powitałby ich z ukłonem od proga:

„Wędrowny poeta sercom szlachetnym cnej radości przysporzyć pragnie!...”

„Witaj!” — odrzeką. — Salve! — dodzwonią czarkami.

I posadzą u stołu, zasluchają się w słowo, opuszczają w skupieniu oczy na swe brody poważne.

Ale nie było progę takiego w mieście całem. A czynił przecie wszystko co trzeba: i na rynku się pokazywał, i na kanonie zachodził, wykręcając szyję ku oknom wszystkim, i u studzien przystawał jak należy: z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i głęśla zwiśla w kufaku. Nie zbliżał się doń pacholek żaden, żaden nie doskakiwał biegacz z zaproszeniem do panów. — Na rynku zgiełk tylko odpustowy, po ulicach ciszej: ledwie mnisz chodaków gdzieniegdzie kołaty i te dzwonki a sygnaturki klasztorów dziesięciu, — kłótlive w zgiełkach tonów, nie zestrojone wcale w miasta górna nutę, — jakby na zaświadczenie, że i życiu tu samemu brak wszelkiego zestroju na rejestrach wyższych.

Więc gorycz powoli napelniała mu serce; już nie o to nawet, że nie pokarmiono go dziś nigdzie, lecz że mury w tym grodzie ponure, posępne kościoty... Dziewcząt na ulicach niewiele widać, a które się pokażą, nie ładne są chyba, bo w oczach ich niema tego płomyka wrażliwości, który w naszych duszach zapala nieraz i najlepszych myśli światło. Oschłość, a krztętność dnia powszedniego jest w wejrzaniach tych kobiet, — dla poety rzecz gorsza od smutku.

A może po piekarniach biją w tej chwili wszystkie serca czujniejsze w tem mieście?

Zgadł chyba, bo niebawem tłumy wielkie wysypywać się jęły z niejednej bramy i wypełniać ulice. Jeszcze nie przybladły rumieńce ciekawości na policzkach kobiet, jeszcze nie przyszały ich oczy roz-

żagwione. Mijał je z żalem do ludzi, w kapturze ukrywały się przed niemi. Aż go w tem ośpieniu zagadnęli żonglerzy na ulicy: czemu tak bezczynnie po mieście się wałęsa, gdy zarobku dziś przecie pora.

„Kędyż pójdę? — odpowie im. — Nie spuszczaają się już dla nas zamkowe mosty, nie otwierają opactw furty, nie czekają na nas u biskupów ławy i misy, — nie biją już na nasz widok serca mężów duchownych i świeckich. — Rynki gawiedzi tylko pełne, piekarnie niewiast próżnych... tanquam gemma stercori in pictura luto!

Odepchnęła wraz żonglerów ta pycha na dnie goliardowego serca zawsze ukryta, choćby pod najskromniejszym osmuceniem twarzy. Takiego lepiej i w smutku poniechać, — nie poradzą tu nic towarzysze.

Oto na chłodne ich milczenie podejmuje wreszcie z pod kaptura swe oczy sępie, — i pyta:

„Nie prawdę ja powiadam, panowie żonglerzy?... Czemże było niegdyś wielkie imię wasze, które od joius: gędźby na igrę się wywodzi, a więc Apollinowego jest rodu. Baczcież! toć urągliwość mieszczań waszych opowieści gęśle mówione za jedno dziś waży z kuglców butlą, kulą i nożem. Co mówię! toż oni rzecz naszą za lichszą snąć mają, bo gdy się kuglcami i gadkarzem na rynku cieszą, naszym gęśłom cóż to zostawili dzisiaj?... Owo żakom grodzkim języki w gębach rozwiązywać, zanim się w tych głowach myśli nawiązały, i mieszczeni gzić! — Powiedzmyż to sobie raz, panowie.“

Milczeli żonglerzy, nieufnym zezem spożywając na goliarda. Więc on' jakoś smętnie opuścił oczy, w ziemię je wbił i gada jakby do siebie już tylko.

„Zepchnęły nas czasy na rynki, między te mieszczeni, gorzej niż oziębłe popelne niemej przedrwiły, ze wszystkiego, co nie jest z ich trybu powszedności. Na schylek nam pono idzie, towarzysze! Jakby nie wszystkie trzy Parki żywota były już z nami. Bo prawdziwie, po tych włóczęgach dziś naszych z grodu do grodu wałęsa się z nami ta jedna już tylko: Lachesis zalotnica-zebraczka, obracająca koło rybałtowych dni! I to powiedzmy sobie wreszcie w oczy, panowie.“

Goliardowe słowo spadało bo zawsze między ludzi jak młot na wstrząśnienie myśli i serc oburzenie. Ale tego było dziś nad miarę wazelką! Zachną się zgodnie żonglerzy:

„Pychy nazbyt wiele ma w sobie ta zebraczka twoja.“

„A znasz ty laiku jeden i drugi ostatnią tarczę oświeconych?!... Korny będę jak pies przed czem mi dusza pokorę nakaze.“

„Więc idź do kościoła.“

„Pójdę!...“

Łzy chlupnęły zniecka w tej przekorze goliarda. I zatrzymały towarzyszy: — kamrat bo z goliarda dobry zawsze bywa. Możeby tak podzielić się z nim zarobkiem z piekarni? Że też w tem zatracenem mieście niemasz słuchaczy i dla niego!...

Ale spoglądali nań mimo to nieufnie. — Muza, myślą, jest kochanką prostotliwych; niech klerk pilnuje damy Filozofii, gdy nie pilnował kościoła. Poeta bo oświecony na to tylko nieco barw życia w sztukę swą nagarnia, by niepokoję w sercach rozczyniać, ockniętą myśl porywać hardo na świata łądy i dzierzce! — Zaciejsza, Bogu i ludziom miłsza, jest sztuka żonglerów: ciekawą mnogobarwność świata w piersi brać i głosić ochoczko każdemu, kto słuchać zechce; a więc nie po łacinie, oświeconym tylko, lecz mową i sercem pospółstwa. Błogosławiona niech będzie nasza dola wszelaka, skoro w torbie włóczęgi przynosi ludziom to rozsiewne uradowanie się życiu: — opowieść!

Lecz te racje swoje woleli nieufni żonglerzy zachować dla siebie. Odezwać się? — wiadomo: klerk mądry! — tylko pomylił czucia. Milczeli tedy upodobnieni sowom, które i są, i wolą być za dnia ślepe, bo jeszcze przyćmiewają oczy.

Postawszy tak czas jakiś z goliardem na ulicy, rozešli się wreszcie w milczeniu — każdy za swojej igrą koleją i losem.

Żonglerzy tedy między kobiety, które ich teraz rozchwytywały po wieczernikach. Kto gębę sprawował, gardła nie żałował: pił za długie posty! Piłby przezornie i za posty przyszłe, gdyby tu i owdzie jaka pani grzeczna nie prosiła na lepsze wywczaszy: do alkierza swego. Wypyszał się wagant i na bogatem łozu!

A i tam nawet żonglerzy zacne dopilnowywali sprawy kamrata, który dziś nic nie zarobił, bając kobietom różności o Muzach i o goliardzie. Niejedna z kobiet jaki wiersz goliardowy o Amorze przypomniła sobie, (trafiają bo się po-grodach i oświecone panie), tem jakby świeczkę Muzom zapaliwszy, polecała im i duszy swej zasoby i to kochanie oto swoje — ku pamięci wiecznej; by w gwałtownem nagle zepnięciu — oddać pani Wenus i duszę i ciało — za jedną chwilę.

Urastały w honorze muzy po alkierzach, a z niemi i poeta; ale na honorach dla nich zawsze się ponoć kończyło.

Goliard snuł się po ulicach grodu. Poniechanie jest gorzkie.

Bardzo gorzkie czasem. I żal życia, i żyć już wiadomo po co. Za każdym progim zda się szczęście

samo pięści ludzi miękką rączką, wagant jak pies bezdomny o) próg każdy się ociera, — i przeklina dołę swoją. Nie żeby głodny był znowuż tak bardzo, ile że...

„Nie becze człeku na ulicy!”

Kto zgadnie i powie, jakie to szczęścia przeciche roją się po głowie waganta? Jakich tęcz wianki spletać on gotów na te bodaj progi, po których wbiega oto z pośpiechem jakaś drobna stopa, już o chwilę całą zapóźniona ku swemu szczęściu?... Tyle doli wszelakich, tyle życia czczego nagęszcza się w mieście!

Przysiadł gdzieś na progu, ni to pątnik zziębły u cudzego pieca. Jakoś z głębokiej sieni beczkowym stropem powiało nań chyba życia samego ciepłem serdecznym.

„Pobłogosław Boże wszystkim statkom i umiarom dusz”.

Roit.

Oweż to rojenia niepohamowanej głowy — które poetriae datur rodzą — oweż to wytrąciły go ze spójności katolickiego świata. — „Pobłogosław Boże rządności serc człecznych”...

„Nie płacze klerku pro foro publico! — patrz, oglądają się za tobą.”

Tak więc poszanowanie dla swej szaty oświeczonego ustąpiło go na koniec. Jak ocknięty ogląda się wokół. Domek, widzi — coś bardzo mizerny! To otrzeźwia go nieco. Ale gdy pod czołem zajaśniała już rozważa, w sercu smęt się wciąż jeszcze rozżala i gra w piersiach za rybałtowe gęśle same:

„Lży za szczęściem na wydeptanym progu czleczej troski może, — wasznych to może zarowań niedolę błogą? pińkę jeszcze jedną uludą: — oto co znalazł wędrowny poeta z nędzarzów bramy. Znalezione zwraca. Zaświadczy, Muzo, ludziom tego domu pozdrowienie waganta!”

Dożył z zaręka pióro i inkaustu flaszę, pisał coś szybko na karcie. I przywiesza ją potem u kołatkę bramy — za v o t o włóczęgi, za wianek spleciony z onych kwiatów, których dla garści równie ponoć niema, jak szczęścia samego na świecie.

Zaczem pogodniejszy już o wiele, poszedł dalej. Obył się dziś i bez oświeconych słuchaczy oświeconych. Prostotliwym pieśnią swoją podrzucił pod progi. Sam szczerdym był.

To też i głodu nawet nie czuje już wcale. Pogwizduje sobie.

Dobra myśl, dobrze przywabia do nas trąfy. Oto czyjeś ramię — życia samego wiankiem — spadło z nienacka na szyję goliarda. I zawlokło go z

przed oczu ulicy do bramy, wraz zatrzaśniętej. Skoczka to była z wielką księgą pod pachą.

„Masz!” — wtyka mu w obie ręce ciężar swój.

Nie prędko połapał się: co, gdzie, jakim cudem się dzieje. Aż się powoli rzecz cała wyjaśniła: w tem mieście, — jako żywo! — Horacy się znalazł lub go dziewczyna z rąk czyichś wydebiła dla niego. Gdy pierwsze zdumienie minęło i na karcie w tytule stwierdzić się wszystko dało, goliard niewdzięczny, zamiast podziękowania, wyrzucił przed się kulałkę gniewu:

„To ogłupiałe dziś syny i dziewczynie w zalotach oddadzą — ojcowie skarby takie!”

„Nie każde pewnie”.

Jęła poprawiać włosy nieco rozwiane. A w tem podniesieniu głowy powiada doń jakby z góry:

„Od pół roku o nikim innym i we snach nawet nie gada. Masz go wszędzie samego. A trzymaj mocno, by ci go nie wydarł jaki mnich przepisanie chciwy, lub jeszcze chciwszy spalenia”.

Do goliarda przystąpiły tymczasem inne myśli, już nie do książki odnoszące się pono, lecz że nie każdej dziewczynie panowie...

Skierował ku niej białka oczu.

„No i bywaj!” — zakręciła mu się na pięcie przed oczami, — — „bo się spieszę za to kapturzyako...”

Wystarczyło tych zwiewnych paluszków pomuskanie prędkie, by się zmylił zez goliarda w spojrzenie nieco miłsze. Oboje oprą Horaca szanownie w kacie sieni, by się nie przewrócił. I dopadną do się piersiami.

„Żaden tak całować nie potrafił!” — pomyślała dziewczyna.

Ale tyle tylko, że się nacałować zdążyli, bo do bramy dobijają się już oto niecierpliwie robotniki: obecna dziś w grodzie młodzież rycerska. Więc się spieszy skoczka, bowiem przyobiegała im zatańczyć po raz drugi, na pokojach gdzieś pańskich. W pośpiechu już nawet nie całuje, a uderza wargami w policzki goliarda, by nie smęcił znowuż z tej przyczyny.

I wyszarpnąwszy nagle coś nie coś z mieszka, wtyka mu to w rękę, by podjadł sobie gdzie nareszcie: — książka nie nakarmi go pono nazbyt suto, — a nie poety rzeczka uganiać się po mieście za kęsem ładajakiem.

„Nie czyń mi tego!” — Syknie jak ukąszony. I natargnie z powrotem kaptur — przed ludźmi pewnie.

Bo skoczka, otworzywszy bramę wyskoczyła na ulicę. I daje się nieść brukom, podbijać, rzekniesz, kamieniom swe kroki prężne.

„Żadna tak stąpać nie umie!” — pomyśleć musiał goliard mimo oświepiania.

Za rytmem kroków dziewczyny jak za werblem na przedzie kroczyła szparko młódź rycerska cała.

Nie wszystko jednak z przytomnych tu: dziś na odpuszczenie, innych bardziej dziś pono rozgrzało wino, bo oto ciągną z daleka z wrzawą, na pół miasta.

I widzą: — na kamieniu pod murem przycupnął jak kruk nad księgi szkarłatem klęk w czarnej szacie: zaczytał się pilnie, opadają na karty wisiory kaptura, a ich krzyków nad głową nie słyszy zda się wcale.

Więc się przypatrują temu ptakowi, który z wagantami spadł dziś na ulicę grodu.

Rozkraczył się nad nim z rękami na biodrach jakiś młody snąć władka nad strażą i przygląda mu się jak zaciężnemu. Chłopak jest giętki jak wąż w swej koleczce srebrzystej, a te mięśnie, rade życiu, grają mu gdzieś koło barku jak pod futrem młodego zwierza; prężny się widzi niczem skoczek, nawet w tej postawie butnej.

„Pozdrowienie Muzom“, — huknie nad głową goliarda,

„Niech opromienia młodość twoją, piękny panie.

A on wraz do kompanii swojej:

„Czek, widzicie, towarzyski w terminach — odpowiada żwawo. Chodź z nami pić, poeto! U czoła stołu posadzimy cię pięknie, jak to za ojców bywało. Będziesz nas chwalił przy gęśli.“

Goliard spokojnie kartę odwraca na znak, że się nie kwapi.

„Moja Muza na wasze rycerstwo nie patrzyła, a sławić opojów nie będzie.“

„Zadziornyś?! Nawet wtedy gdy o zarobek idzie? Lubieć! — trzepnie go łapą w plecy.

„Poniechajcie mnie panowie, mam tu zacniejsze towarzystwo w ciszy“.

„A nam się twego zachciało.. No, wstawaj, gburze! Ruszaj się! — poczną go trącać mieczami.

I uprowadzili ze sobą. A śmieją się i drwią z księgi, którą dźwiga pod pachą.

„Gdzie ducha skapo, tam dufności wiele“, — odgryza się goliard w ich hałasie. — „I nie tak za ojców bywało“.

A gdy przez rynek przechodzili, oprze się im nagle: — nie pójdźcie! O datki ich nawet nie dba, bo droższy mu w tej chwili czas i księga, przy której go zastali. A jeśli już koniecznie chcą go posłuchać, to tu właśnie, na rynku miałby im coś niecoś do powiedzenia.

W kompanii nie trzeźwej — wiadomo, — im rzecz bardziej nie oczekiwana, tem zgoda pewniejsza. Przyklasną z tumultem, gotowi na tarczach go nawet podnosić: „Tu nas pochwal, bracie!“

A goliard jakby odżył nagle, w tej myśli może pewnie, że na rynku tego miasta i on znalazł słuchaczy swoich.

Skoczy tedy na ławę u studni i wzniesie ramię.

„Panowie!.. Piękne jest żonglerstwo kamratów na rynku, piękne są skoczki tańce i nogi, piękną odwaga linochoda, odważny jest niedźwiedzia poskramiacz, piękne jest — zwinne jak w tańcu — słowo gadkarza: — zgola: piękną jest każda zachwalność i rącość ciała i bystrego ducha żywność każda!“

Atoli piękniejsza jest nasza stara igra! — śpiewa dumny poeta prowanski. — Bo zważcież tylko panowie: rzeczy kuglców, gadkarzy, a i żonglerów, bywa, po piekarniach tyle trwania, ile baczenia waszego, — i o toście znów radości próżni, jak wonceś gdyście wychodzili z domu. Inną jest nasza sztuka poetów i inne jej piękności! One, serca sięgając, w pamięci pozostają, bo czucia czelce rozszerzać zwykłe. One jak na gęśli stroją w was te żyły serdeczne nienawiści i miłowania, na których życia waszego ton — i daj Boże, chwałę! — sami wygracie.

Aliści, widzę, w rzadkie miny i cierpkie wejrzania wasze powiadam ja to. Wyście tu oczekiwali gotowej dla się pochwały w rymach pobrzękliwych. Daremnie bym wam obiecywał bodaj dusz ocknienie ku niedoznanym jeszcze czujnościom, — niech wesółki uszami kukli swych zadzwonią, — sam tu pono stanę... Więc to jedno już tylko powiem wam, na rychły wraz koniec, panowie rycerskiego i kupieckiego stanu:

Oto jest kraina zaniedbania, gdzie synowie na zbyt dufni, wyrzekli się Muz, przy których wyrastali duchem ich ojcowie i odrzucili je od się precz — między mieszczany. Ci zaś — ładem trybu swego, który wszystko w cechy i bractwa wiąże — między kuglce dowiązali Muzy: w jedną wagantów bandę i ordo. A hersztem tej bandy ustanowili w duchu swym poetę. — Jestem. Tu zaś są zacni towarzysze moi, (wskazywał na igrców, którzy porzuciwszy sztuki swoje, zbiegli się doń gromadą, a teraz obciągają szaty na to zarekomendowanie), — kamraty w każdej doli niezawodne, a sercem tak dziś moi, że niejeden z was, panowie, lichazy mi przy nich i zgola żaden: człek bez twarzyl!“

Uragliwymi śmiechem z brzucha zatrzęsą się w okół rycerze.

„Oto jest kraina opieszałości, gdzie nad lampami duszy baczenie mają już chyba tylko niewiasty: mądre i głupie razem... A śmieście się! — wzburzył się nagle goliard; wychylił głowę z pod kaptura, wicherzył czuprynę. — Wiemże! przed kuglców pomostami bawicie swe serca rycerskie, zdając pieśni i opowieści, gędbę i wiersze, — zgola: oświeconych igrać zacniejszą, — zdając dziś kobiet i młodzieniaszków pieczy; ich baczeniu jedynie lampę i oliwę powszechnego ducha... A, śmieście się! — doskoczy już do

nich z ławy, — unde saepe lacrimor quando vos ridetis!.. Idźcie na rynki bawić oczy i uszy. A wracając na swe zamki, to jedno weźcie na swe serca ucieszone w grodzie — ona krzywdę powszechności całej; jej capitis et corem diminutio!.. Idźcie na rynki bawić oczy i uszy, — póki w głowy i serca mężów tego kraju nie spojrzy ktoś obcy i nie rzeknie, jak powiedział niedawno na synodzie on biskup surowy: rudes! idiotil illiteratil..

Padła na rynek cisza nagle i krótka jak błyskawica, gdy wielkiego gniewu warknięciem szczękły raptem wszystkie miecze o swe tarcze i rzucili grozę na tłumy.

Tarczami następują panowie na goliarda, by nie podnosić miecza na chama; jeszcze kilka kroków, a zgniotą go jak robaka pod stopą. Rzucą się waganty wyrwać kamienie z bruków; już je miotnąć mają na panów w obronie towarzysza.

Gdy, nie wiada skąd, rysiem spadnie przed one tarcze skoczka hyża. I wystawia na zgniecenie jawną pierś dzierzyny; a usta ma rozchylone nad rycerstwem tak mierzernem:

„Nie masz tu ani jednego, któryby się zastawił za wolnego ptaka prawdę i szyję?!“

I nie chybiła — tym właśnie przeciwstawieniem jednego gromadzie: do honoru obecnego tu może przypadkiem rycerza błędnego odwołała się bezwiednie. Nie chybiła zaś nadewszystko wyzwaniem swej urody.

Przyśło koło zemsty w pomrukach gniewu. I rozdwoiły się mniemania panów. Zalotniki skoczki opowiedziały się za wagantami; że naród to wolny; że gbur, kto się na słowo igrców obrusza; że dawniejszy obyczaj za podniesienie ręki na gęslarza i lirlnika karał ramienia odjęciem: — tak uczynili króle, z uszanowania dla poetów; — sami zaś pozwalali im mówić całą zawsze prawdę, choćby z srogim gniewem poety przeciw sroższemu jeszcze gniewowi królewskiego majestatu — i jego pięści zaciśniętej na miecza głowni.

Te wszystkie rące, oraz szanowne z nich technienie starych czasów ostudziły gniew panów. Więc niech goliard odszczeka ostatnie bodaj tylko słowa.

Ale goliard niczego odszczekać nie chciał. Wszczęła się zwada. Niebawem nikt już nie słyszał się wzajem w tej wrzawie i nie rozumiał już wcale. Tu i owdzie zatrzaśkiwały się ponuro przyłbic wizyry nad twarzami. Wpieroano się w ziemię, mierząc przeciwnika złym okiem z pod larwy stalowej. Sapia i czekają jak te koguty przypływu pasyi ostatniej. Rzadko który okrzyknął się, jak trzeba:

„Wyzywamć!.. Baczność miej!“

Najbardziej niepohamowanego miecza targnięcie się — od swej tarczy w górę — rozstrzygnęło wszystko. I rozległ się on łomot srogi w nacieraniu na się dwóch gromad.

Mieszczanie jakby ogłupieli nagle, zapatrzywszy w ten rozruch na rynku ni to na dziwowski odpust. Dopiero gdy krew bluznęła na kolczugi jasne i ktoś się tam zwał z nóg z chrzęstem, rzekniesz, bezwładnym, jakby kto garść żelaziwa o ziem cisnął, — dopiero wtedy zakolysał się tłum gwałtownie i wypadł z niego kobiety. Któraś z nich widziała krew, inna powalenie się pana, trzecia zaś, najdalej stojąca, usłyszawszy to wszystko, wrzaśnie piskiem przeraźliwym: „Zabili!..“ Wówczas jak to stado gęsi w popłochu, z wielkim łopotem spódnic zaganiać jęły kobiety — to tu, to tam, — wpadając w ulice na oślep i roznosząc po mieście te krzyki przeraźliwe:

„Zabili!.. Zabili!..“

Tym zamętem z ratusza wywołany wkroczył na rynek burmistrz z laską. Mało co baczy na rycerzy potyczkę, bo gniewają go przedewszystkiem te nieporządki i trwogi roznoszone przez kobiety po mieście całym. Ku nim tedy kieruje swe spojrzenia srogie. Oto osoba tak otyła, jak pani płatnerzowa grodu, toczył się po rynku, ni to beczka hałaśliwa i drze się o tego goliarda — za dziesięć młodych.

Nie masz bo w każdym grodzie bardziej przykrych niechęci, niżli panów podstarzałych do kobiet już nie młodych. Do niej tedy doskoczy burmistrz z całą surowością i nakazem władzy:

„Cicho mi pani bądź! — bo na ratusz wezmę... I czego się dobroduszka drzesz?!“ — gestem żaby rozczapirza dłonie i głębę przed babą tłustą. „Takiego człowieka!.. Takiego człowieka...“ „Uspokój się pani: goliardowi nie się nie stało. Pewnie dla tego że mu wisieć sądzono“.

„Takiego człowieka!..“ — wysapuje kobieta w uspokojeniu swą alterację z przed chwili.

„Jakiego znowuż „takiego“? — wyzabia się przed nią burmistrz, każdym słowem akcentując jakby otyłość damy.

„Panie! — przystępuje do niego z impetem, — panie! czek że to w Salerno i Paryżu bywały, fizyki i lekarstw u mistrzów nauczony, w filozofii biegły, dysputacy artysta, a nadewszystko poeta! — vel magus“, — uprzystępnia żarliwie ostatnie słowo burmistrzowi, który nie był z oświeconych. —

(Żongler wgadał było to wszystko w kobietę, zalecając jej kamrata swego.)

Jakoż burmistrz stropił się nagle, by nie uchybić aby jakimś tam może ważnościom po dworach pańskich. A stropiony uraził się bardzo:

„My ludzie pracy! — rzeknie. — Uczty u nas skromne; wagantów na nie nie sprowadzamy... To jedno wiem tylko: płacą miastu i dziewczki nierządne — od kapelusza. Zaś ta gołota darmo włazi i wylazi z miasta. Tyle tylko, że straży u bram grodu swe sztuki pokazać muszą, czy je aby naprawdę umieją. A to nie jest podatek żaden!”

„Tam się zabijają na rynku, a on tu w myślach podatki z biedy ludzkiej żyłujel!” — oburzy się do głębi pani płatnerzowa.

I mimo tuszy duchem śnać krzepka, potoczy się żwawo pod miecze nieomal same.

„Panowie! — rozkłada ramiona matrony, — panowie, opamiętanie miecie!.. Nie tak się rozstrzyga sprzeczki o Muzy!” Rad nie rad biedz za nią musi: nie daj Boże, zasieką i babę na rynku.

„Gdzie też dobroduszka ponosi, na miłosierdzie Boskie?! I jakie tam znowu Muzy komu w głowie? Panowie tu juszą o — skoczkę piękną.”

I wysapał z brzucha ostatnią pasję na wszystko, co się od rana dziś w mieście dzieje.

„Owóz Muza, jaka nawiedziła dziś mieszczan i rycerzy! Tymczasem jeszcze, — bacze, — bez kapelusza.”



toczyć kazał król rynek cały i rozjść panów przez strażę, a turbować ich mocno za nieposzanowanie świętego Florjańa, którego odpust był dzisiaj. Z kilku powalonych zwłoczono zbroje i macano rany; że zaś nieważne okazały się wszystkie, zostawiono ich na placu, — kobietom na wytkliwianie się, opatrunki i coś lepszego potem. Tak mówiły do, pani płatnerzowej strażę gburne, powracając na zamek.

Ona bo była wszędzie: rządziła się na rynku, jak ta gospodyni miasta.

Żonglerów jakby kto na sto koni posadził; każdy z nich gdzie mógł nos wtykał, patrzył, wachał, przyglądał się i zacierał łapy. A rzecz widzianą tak osobiście wyogromniał w sobie — i już prawil w duchu, już, myślą w innych gdzieś grodach, opowiadał ludziom szumną awanturę rycerzy w obronie Muz i poety.

Goliard miał wciąż jeszcze w uszach te łomoty mieczów i plugawę przekleństwa rannych rycerzy; zaś krwi widoku całkiem już goliard nie lubił. Więc był bardzo zgnębiony tem wszystkim i cierpki duszą. Stoi przed nim najdzielniejszy z obrońców jego: pan, który znalazł się na rynku nieoręźnie, w stroju odświętnym, a gołemi garściami miecz zdobył i nim goliarda zasłonił. A teraz oto ranę na lewem ramieniu pozwala kobietom opatrywać sobie. I by nie syczeć z bólu, zagaduje goliarda:

„Opowiadaj o sobie: gdzieś bywał? skąd jesteś?”

To butne wyzwanie, niby spotkanego gdzieś na gościńcu, nie podobalo mu się wcale. Nie chce jednak zrażać do się wybacwę swego. Więc popatrzał nań uważnie, i, jak gdyby odgadnąwszy coś nie coś, powiada o sobie:

„Pięćdziesięciu królów ziemie schodziłem.”

I trafil: — jasne, gołębie wejrzenie spoczęło na nim.

„I ja również! — słyszy głos jakby uradowanego dziecka. — W błędnem rycerstwie zjeżdżilem, by rzec słusznie... Ty zaś skąd jesteś?”

„Z gościńca,” — mruczy goliard.

„Ojczyzna szeroka!”

„Wielce gorzka dola nam wagantom, gdy do tej innej jedynem już tylko nawiązaniem te właśnie o nas po rynkach.”

„Więc czemu powody dawasz?”

„Bo prawdę mówić mniemam!... Nieprawdy moje piękniejsze, ale o nie nikt tu nie stoi. Prawdy — w żalu — bardzo gburne. Rzeczy grube każdy z nich usłyszy i pojmie; — stąd sprzeczki. Zgiełk wnoszę w miasto, chociaż przychodzę powiadać rzeczy najcichsze. Daruj mi, panie, zamęt jaki wszcząłem i tę ranę twoją. Dziękując za życie, któreś mi dziś przedłużył.”

„Daj ci Boże — na lepszą dolę” — uważnie przyglądają mu się te oczy gołębie.

„Za bękartów jakiego rycerza błędnego gotówbym was uznać, waganty, spotkawszy gdzieś na gościńcach świata, — za liczne jego potomstwo z cyganką może. Rozmaite bo sztuki umieją cyganie. Duch zasię po ojcu w was pewnie... A i nie dumne wy zresztą jak bękarty.”

Czuł goliard, że i w niego tu coś trafia; żachnie się tedy.

„Kędyż więc pójdę? gdzie się podzieję? co temi czasy uczynić z sobą mam?! — gdy panowie duchownego i rycerskiego stanu stracili dziś doszczętnie serc swoich ciekawość bezkorzystną...”

„Pluń tedy na ich korzyści, — i chodź zę mną.”

„Dokądże to?”

„Szukać Graala.“

Goliard w zdumieniu aż w tył odstąpił, bacząc zezem: czy gada doń człek przy zdrowych aby zmysłach? Widzi: bary jak u niedźwiedzia, że ta główka rycerza na nich maleńką się aż wydaje, — właśnie jak u niedźwiedzia; oczy zaś równie małe, niczem w futrze tamtej bestyi srogiej, — i dobre; nie można powiedzieć inaczej: dobre! Odgaduje więc w nim raczej wielki upór myśli, przydatnej żołnierzowi, niżli zmysłów nieładny.

Odczuwa żołnierz w goliardzie wielki niesta-tek chęci wszelkich, — jak to u poety, — a wraz i chytra przenikliwość klerka w jego spojzeniu. Oto z pod kaptura dobywa się baranin śmiechem ten szyd niepowściągnięty: „He, he! — graalowe szukanie!“

I przypatrują się sobie oczami tak odmiennymi.

Aż goliard przerwał to milczenie, trybem klerków, którzy od szyderstwa w oczach do mądrego odcia się tak łatwo przechodzą.

„Wyczerpuje sam czas wierzenia człeczce,“ — powiada, pociągając dłońmi po wisiorach kaptura, niczem po bakach brody.

„Niewyczerpana jest wiara w sercu, które samemu sobie wierne pozostaje, — jak chce pierwsze przykazanie graalowego szukania.“

„I o tem wiesz już, panie?“

„Od was to wiem, poetów — i zamknąłem w pierś.“

Markotnie coś stało się goliardowi, .poskrobał się po kapturze.

„Mimo to nazbyt zawierzyłeś, panie, dzisiejszej opowieści żonglera.“

Kulaczysko jak oklepiec chwyciło goliarda za ramię i zatrzęsło nim, — nie z gniewu, widać, lecz z alteracyi naglej.

„Jakżeby ja nie miał zawierzyć żonglerowi?! — Tyś, goliardzie, człek mądry: — posłuchaj i zważ...“

I nad tym grodem jest zamek, i w nim królowa najpiękniejsza (Możesz już słyszał co o niej? Nie?!). I jam jest rycerz straży, — straży grodzkiej, — u króla mego. Zdarzyło mi się sprawować straż i na pokojach Pani, wysztywnion i skamieniały w słup, — jak trzeba. A z sercem rozłopotanym pod zbroją przed oczami Pani, która tak często, tak bardzo często przebiegała przede mną: — liczne miała sprawy na pokojach swoich. Jeszcze dziś słyszę te jej nucenia zdala, te szumy płaszcza, te szelestki i stapania miękkie, gdy stał tam wysztywnion i skamieniały w słup — a coraz to bledszy i bledszy przed uśmiechem Pani. A przedsię nikim byłem dla niej, kamieniem u muru, patrzącym bywało i na ramiona jej nicoślone i wcale, i na pierś otwartą... na nogi przymykałem oczy, — ku zdziwieniu Pani: — bo to był znak życia

we mnie jedyny. — Nie wolno nam, straży zamkowej, przemawiać do nikogo na świecie, oprócz króla samego. Zabawiało to Panią przystawać przede mną z pytaniem: czemu taki błądy i baczyc na milczenie moje, oczami zgadywać odpowiedź niemego; a dotykać rozmaicie zbroi mojej: niby, czym człek żywy czy głaz... Jeszcze dziś widzę przed sobą te rozchylone usteczka, oczy pod rzęs zatuleniem i ten uśmiech na policzkach, gdzieś tu, koło dolecz...! — gdy stał tam wysztywnion i skamieniały w słup, i coraz to bledszy i bledszy przed tym uśmieszkiem Pani. Aż zwałem się ciężko do jej nóg w rynsztunku całym, — a chłop jestem duży. — Nie dopuściła Pani abym czczel z tej tęsknoty... Więcej nie powiem goliardzie. Bo i nie godzi się więcej powiadać o kobiecie rycerzowi... A teraz zważ: — i ja zastawiłem miecz, aby płaszcz strojny kupić. Zważ dalej: — i na tym zamku padł nocy, niedawnej rycerz jakiś. (Może ci już opowiadano o tem na mieście?! Co?!). Wiedz tedy, ja go zabiłem na zamku komnaty, bowiem uchybił czci mojej Pani.“

„He?!“ — goliard odął wargę.

„A teraz powiedz, mądry goliardzie: jakżeby nie miał zawierzyć opowieści żonglera?! Krwią nabiegały mi oczy, gdy go słuchał w piekarni. Nie o mniej to? nie o mnie opowiada żongler? — było mi tu wciąż w skroniach... A te żywe kamienie po kościołach teraz dopiero tłómaczyć mi się zaczęły swym duchem: leżą na grobach jak graalowe pątniki, które celu nie doszły, powalone w podrożu. Zaś ta na ich lieach frasobliwość wieczna, — żywe to wyrzuty sumień naszych: — „gdzie dążenia twoje?!“ Obejdę wszystkie kościoły grodu, odszukam kamień taki i będę przed nim bił i bił czołem, aż chyba tę głowę nędzną roztraskam. Bo w jakie dosyty, w jakie zażywności, w jakie rozkosze ugrzązłem ja, bracie?! I w jaką pogardę dla się? A i w zbrodnię ponoć na pokojach królewskich? Im wyższe, im zażywniejsze te prógi kochania, tem pewniej cudzą lub własną krwią zboczyć je z czasem trzeba. A i mógłbym swym chyba. Bo o te progi leć swój chyba rozbiję w pogardzie dla się! — A dowiodła mnie do tego ta służba w straży: te dostatki, te piękne stroje, te kobiet bliskości nieustające... Nie tak to za dobrej młodości bywało! Ale gdy mi trzeci już koń padł, (tu tży zmaciły mu nagle słowa) gdy już trzeci koń podę mną padł w rycerstwie mym błędnym, — a familia już więcej pieniędzy dawać nie chciała, — wówczas: w tej biedzie, w tej trosce bezradnej dałem się królowi do straży.“

Szczere było ponoć to wszystko, razem z tym żalem do rodziny, bo załzawił się, spotniał jeszcze bardziej i zwiesił ciężko tę głowę stroskaną.

Goliard odparł oburzeniem wielkim:

„I taki nawet swego życia i sumienia w goliardowej gębie szuka! — Toć i zwierz jaki na woli, w całej gorącości żądz swoich, piękniejszy chyba od tej bestyi, jaką niedźwiednik oprowadza po rynku za kolec w nosie. A żaden żongler na świecie innych ludzi nie pokazuje po piekarniach, — kobietom na wytkliwiania się tęskne i urabiania dusz swoich wedle takich wzorów. Więc nie bądź, jak one... Ilekroć nam się przytrafi zasłuchać w dolę czyją, ogarnia nas zawsze to zdziwienie, jak krewne, jak bliskie, jak zrównane nieomal są wszystkie dole człeczce, chocia pod różnemi gwiazdy i horoskopy“.

Nie śmie rycerz przeczyć słowem mądrymu klerkowi. Ale tą główką na potężnych barach porząsa wciąż spornie:

„Nie równa życie nierówności człecznych. A nasza dążność czy niedotrwanie jeszcze nam i przed śmiercią wypłacić zdoła.“

Tu już goliard białka oczu wytrzeszczył na niego; a palcem to na się wskazuje, to na niego, i z powrotem znówu: — Jaż to prawię gromko do ludzi, czy on w cichości do sumienia swego?...

I zdjęło go wielkie zawstydzenie przed tym wyznawcą słów Muzy, niczem przykazań Pańskich.

On zaś ujmując go pod ramię i zwraca mu się dalej słowem ciepłym.

„Omierzy mi do cna, czcze drużby rycerskie; ich gawędy puste i swary całkiem głupie. Z mądrym chcę przyjaźń zawrzeć: z tobą goliardzie. A i ty przyjaźni szukaj, przyjaźni, wiernie się daj, — jak chce drugie przykazanie graalowego szukania! — Mnie się daj: jać sprostuję dumę, jać zagrzeję w pierś wiarę stygnącą, jać powiodę!“

„Dokądże to, niby?“

„Na szukanie Graala“.

Goliardowi chciały zrazu opaść ramiona.

„I czegoż to żal ci jeszcze? Jakich to nadziei obietnice zostawiasz po grodach? Sameś mówił:

nikt was dziś słuchać już nie chce, — poetów; niemasz w sercach mętów ciekawości bezkorzystnej. Więc jaka na cię dola czeka? Swędać się w głodzie po ulicach miasta? Lub może mieszczanom się dać: — ich żonki i córy słowem Muzy gzić? żakom języki w gębach rozwiązywać?! Lub może na rynku swarzyć się wciąż z narodem? — Nie zawsze znajdzie się taki, co cię obroni. Zgniotą cię wreszcie na rynku rycerzy tarcze i wdepczą w bruki mieszczan stopy... Hańba wahanu twemu! Bo tak nędzny koniec na co to pomieniać ci teraz wolno? — pomyśl: — na szukanie Graala! A czemuś ty żył — nie na ulicy, nie na rynku, a w cichościach swoich? — czem, jeśli nie wiarą poety w Graala? — tak ja o tobie mniemać muszę... Hańba wahanu twemu, goliardzie!“

„Jaż to, — myśli goliard, — prawię gromko do ludzi, czy on do sumienia mego?“

I to ramię jego, w porę przecie powciągnięte, jęło wykonywać teraz gesty dziwnie nijakie. I owszem, przytwardza, — ale się zastrzega; — przytakuje, — a jakże! jednak coś tam...

Kręci miękką rączką klerka. Twardy niedawno, pogiębiciel słowem narodu na rynku, gwał się teraz, i zwił, i wykręcał, ni ten wila bez kośćca: wymknąć się jakby chciał — przed mocnym nastawieniem prawdziwości cudzej.

Ale za ramię pociągnięty, pokroczył, stapał nawet mocno, nie własnej determinacji mocą.

To jedno jeszcze tylko zdołał powiedzieć od siebie:

„Baśni żonglera w piekarni nasłuchałeś się, panie, a i poetów, widzę. Nasze słowo nie święte. A gęśle to już nigdy prawdy nie głoszą.“

Tak rycerz błędny i wędrowny poeta wyruszyli na szukanie Graala.

(K. CZ. I.)



U POETÓW.

TEODOR TIUTCZEW.

*O Panie, ześlij zdrój ochłody
Temu, co, w lata znojny skwar,
Jak nędzarz, mija cud-ogrody,
By przez dróg spiekłych wlec się żar.*

*Za ogrodzeniem widzi czasem
Drzew gaje, kwiecia wonną baśń
I przerozkosnych łącznych pasem
Rzeźwiącą, niedostępną jaśń.*

*Ześlij, o Panie, zdrój ochłody
Temu, co, w znojny życia skwar,
Jak nędzarz, mija cud-ogrody,
By przez dróg spiekłych wlec się żar.*

*To nie dla niego drzew korony
W gościnny się rozrosły cień,
To nie dla niego rozperlonej
Fontanny deszcz zwiśł tęczą lśnień.*

*Próżno mu nęci wzrok olśniony
Błękitnej pod nią groty cud,
Skroni nie zwilży mu znużonej
Kryształnych pyłów rośny rzut.*

DROGA Z KRÓLEWCA DO PETERSBURGA.

*Rodzimy landszaft popod dymnym dachem
Ogromnych, śniegonośnych chmur;
Sinieje dal; posępny stoi gmachem
Wtulony w mgły jesienne bór.*

*Tak goło wkrąg, tak pusto, tak bez ramy,
W tle jednostajnem tem
Miejscami tylko przeświecają plamy
Stojących wód pod pierwszym lodu szkłem.*

*Ni dźwięku tu, ni barwy, ani ruchu;
Życie odeszło; rab losowych ram,
W jakimś omdlatym, zgęźbionym bezduchu,
Tu człowiek ledwie śni się sobie sam.*

*Jako zmierzch dniowy, zmierzchtł mu wzrok ponury;
Nie wierzy on, choć wczoraj sam w nich był,
Że są krainy, gdzie tęczowe góry
W błękitnych toniach lustrzą kształt swych brył...*

GŁOSY NOCNE.

*Jak słodko drzemie sad ciemnozielony,
Wtulony w senność modrych nocy łak;
Skróś gąszcz jabłoni, kwieciem ubielonej,
Jak słodko złoty lśni miesiąca krąg!*

*Tajemnie, jako w pierwszy dzień stworzenia,
W bezdennem niebie gwiazdny płonie rój;
Muzyk bałowych potok się rozpienia
I dostyszalniej mówi blizki zdrój.*

*Nad światem dziennym spadł zastony olów;
Omdlał ruch wszelki i trosk usnął tłum;
Nad śpiącym miastem, jak z boru wierzchołów,
Zbudził się dziwny a conocny szum...*

*Zkąd on, zkąd szum ten niewyobrażalny?
Śmiertelnych dum-ż to, wyzwolonych w śnie,
Świat bezcielesny, styszny, niewidzialny,
W chaosie nocnym roi się i prze?...*

MIRIAM.



KSIĘŻYC PRZYBIERAJĄCY.

RABINDRANATH TAGORE.
Z ANGIELSKIEGO PRZEKŁADU AUTORA SPOLSCZYŁ
JAN KASPROWICZ.

OBŁOKI I FALE.

Matusiu, ludek, co żyje w obłokach, woła mnie ku sobie. „Bawimy się od chwili, gdy się obudzim, aż po koniec dnia. Bawimy się z świtem złocistym, bawimy się z srebrnym księżycem“.

Pytam: „Jak mogę dostać się do was?“

Odpowiadają: „Idź na kraniec ziemi, podnieś ręce ku niebu, a dostaniesz się do obłoków“.

„Matka czeka mnie w domu“, powiadam. „Jakżeż ją mogę zostawić i przyjść do was?“

Śmieją się wówczas i odpływają.

Lecz ja znam piękniejszą zabawę, matusiu, niż ta.

Ja będę obłokiem, a ty zaś będziesz księżycem.

Nakryję cię obiema rękoma, a szczytem naszego domu będzie, błękitne niebo.

Ludek, co żyje we falach, woła mnie ku sobie;

„Śpiewamy od rana do nocy, wędrujemy, wędrujemy, nie wiedząc dokąd spieszymy“.

Pytam: „Lecz jak ja się z wami połączę?“

Te mówią: „Stań tu na krawędzi brzegu z zamkniętymi oczyma, a fale cię porwą ze sobą.“

Ja mówię: „Matka czeka na mnie w domu co wieczór, jakżeż ja mogę ją rzucić i pójść?“

Śmieją się, tańczą i płyną dalej.

Lecz ja mam lepszą zabawę, niż ta.

Ja będę falami, ty obcem będziesz wybrzeżem.

Będę się toczył i toczył i toczył i o twe łono rozbijał się z śmiechem.

I nikt w świecie wiedzieć nie będzie, gdzie my jesteśmy oboje.

KWIAT CHAMPY.¹⁾

Pomyśl sobie, że zmieniłbym się w kwiat champy, ot tak dla żartu, i rósłbym na gałęzi, tam wysoko na tem drzewie, i od śmiechu trząsłbym się na wietrze i chwiał się nad rozwiniętymi co dopiero liśćmi, czy poznałabyś mnie, matusiu?

¹⁾ Drzewo podobne do magnolii; wonne, białe i żółte kwiaty jego składa się bogom w ofierze.

Wołałabyś: „malcze, gdzie jesteś?“, a ja śmiałbym się do siebie i zachował się całkiem cichutko.

Rozwarłbym ukradkiem swe płatki i przyglądałbym się twojej pracy.

Gdy po kąpieli szłabyś, z mokremi rozpuszczonymi włosami na plecach, poprzez cień drzewa champy do dziedzińcyka, gdzie odprawiasz swe modły, zauważyłabyś zapach kwiatu, lecz nie wiedziałabyś, że odemnie on idzie.

Gdy spożywszy obiad, siedziałabyś przy oknie i czytała Ramayanę, a cień drzewa padałby ci na włosy i łono, rzuciłbym swój drobny cień na stronicę twej książki, tam, gdziebyś właśnie czytała.

Odgadłaśbyś wówczas, że nikły cień ten pochodzi od twego małego dziecka?

Gdy wieczorem szłabyś do obory z lampą zapaloną w rękę, spadłbym nagle na ziemię i byłbym raz jeszcze tym twoim malcem i prosiłbym cię o jakąś powiastkę.

„Gdzieżeś ty był, ty nicponiu?“.

„Tego jać nie powiem, matusiu“. Oto cobyśmy sobie naonczas oboje powiedzieli.

KRAJ BAŚNI.

Gdyby zechcieli się ludzie dowiedzieć, gdzie jest pałac mojego króla, pałac ten znikłby w powietrzu.

Mury są z białego srebra, a dach z błyszczącego złota.

Królowa mieszka w pałacu o siedmiu dziedzińcach, a ma na sobie klejnot, który był wart wszystkie skarby siedmiu królestw.

Ale pozwól, matusiu, powiedzieć ci po cichu, gdzie jest mój pałac królewski.

Jest w rogu naszej tarasy, gdzie stoi doniczka z zieleń *tulti*.¹⁾

Królowna leży uspiona hen na dalekiem wybrzeżu siedmiu nieprzebytych mórz.

Niema nikogo na świecie, kto by ją znalazł, prócz mnie.

Obręcze ma na ramionach i perły zwieszają się z uszu, włos jej spływa na posadzkę.

Zbudzi się, gdy jej się dotknę zaczarowaną różdżką, klejnoty spadać będą z jej warg, gdy się zaśmieje.

Ale pozwól, matusiu, szepnąć ci do ucha: ona jest w rogu naszej terasy, gdzie stoi doniczka z zieleń *tulti*.

Gdy będzie czas pójść ci do rzeki, by się wykąpać, udaj się na terasę na dachu.

Ja siedzę w rogu, gdzie spotykają się cienie ścian.

Tylko kotka może pójść ze mną, gdyż ona wie, gdzie mieszka balwierz z bajki.

Ale pozwól, matusiu, szepnąć ci do ucha, gdzie mieszka balwierz z bajki.

W rogu naszej terasy, gdzie stoi doniczka z zieleń *tulti*.

¹⁾ Gatunek waznikowego ziela. Najcenniejsze zioło lecznicze w Indjach wschodnich, związane z dziejami boga Vishnu (miało powstać z włosów nimby, którą Vishnu kochał w swej inkarnacji jako Krishna). Z ziela tego wyrabiają różańce.

KRAJ WYGNANIA.

Matusiu, światło poszarzało; nie wiem, która godzina — nie ciesz mnie zabawa, dla tego przychodzę do ciebie. Mamy sobotę, nasze święto.

Rzuć robotę, matusiu, siedź tu przy oknie i opowiedz mi, gdzie jest Tepantar, ona pustynia z bajki.

Cienie deszczowe przysłoniły calutki nam dzień.

Rozszalały grom rozdziera paznogciami niebiosą.

Gdy toczą się obłoki i grzmi, lubię przerażać się w wnętrzu i tulić się do ciebie.

Gdy ciężki deszcz godzinami uderza w liście bambusu a okna nasze drżą i dzwonią pod uderzaniami wiatru, lubię siedzieć samotnie w izdebce razem z tobą, matusiu, i słuchać opowieści o Tepantar, onej pustyni z bajki.

Gdzież ona, matusiu, na brzegu jakiego morza, u stóp jakich wzgórz, w królestwie jakiego króla?

Niema tam żywopłotów odgraniczających pola, niema tam miedz, któremi wieśniacy wracają do wsi wieczorem lub któremi kobieta, zbierająca suche gałęzie w lesie, ciężar swój przynosi na targ.

Płaty żółtej trawy na piaskach i jedno jedyne drzewo, gdzie para starych, mądrych ptaków ma swe gniazdo — tam leży pustynia Tepantar.

Mogę sobie wyobrazić, jak w taki właśnie dzień pochmurny młody królewicz jedzie samotnie na siwym koniu przez pustynię i szuka księżniczki, uwięzionej w pałacu wielkoluda nad wodą nieznaną.

Gdy ciężka mgła deszczowa na dalekiem zjawia się niebie i grom zadrga, jak nagły wstrząs boleści, czy wspomni on sobie matkę nieszczęśliwą, porzuconą przez króla, sprząającą oborę i wypłakującą oczy, gdy on jedzie pustynią Tepantar z bajki?

Patrz, matko, omal jest ciemno, choć dzień się jeszcze nie skończył, a tam na drodze wiejskiej żadnego nie widać wędrowca.

Pastuszek powrócił wcześniej z pastwiska, ludzie rzucili pola, by sięść na matach i z pod okapów chat groźnym przyglądać się obłokom.

Matusiu, wszystkie książki zostawiłem w szafie, nie każ mi teraz uczyć się lekcji.

Gdy urosnę i będę tak duży jak ojciec, będę się uczył wszystkiego, czego się uczyć potrzeba. Ale, dzisiaj właśnie opowiedz mi jeno matusiu, gdzie jest Tepantar, ona pustynia z bajki?

DZIEŃ DESZCZOWY.

Złośliwe gromadzą się chmury nad czarnym skrajem boru.

O dziecię, nie wychodź.

Rząd palm nad jeziorem bije głowami w złowróżbne niebiosy; wrony o zabójconych skrzydłach przykucnęły cicho w gałęziach tamarindy¹⁾, a wschodni brzeg rzeki majaczeje w przyciemnionych światłościach.

¹⁾ *Tamarindus indica*; indyjskie drzewo daktylowe, wiecznie zielone, dochodzące do 25 metrów wysokości.

Krowa nasza ryczy, przywiązana do płota.
O dziecię, poczekaj tu, aż ją zaprowadę do obory.
Ciżba ludu gromadzi się na zalanych polach, by łowić ryby, wyrzucane przez wezbrane stawy; woda deszczowa skacze wązkami uliczkami, jak śmiejący się chłopiec, który uciekł od matki, aby jej dokuczyć.

Słuchaj, ktoś woła na przewoźnika z brodu.
O dziecię, światło dnia pociemniało, ustała praca u promu.
Niebo, zda się, cwałuje na oszalałym deszczu, woda w rzece głośna i niecierpliwa, kobiety popędziły co prędzej do domu z napełnionymi w Gangesie konwiami.

Trzeba przygotować lampy wieczorne.
O dziecię, nie wychodź.
Droga do targowiska jest pusta, ścieżka do rzeki śliska. Wiatr jęczy i szamocze się wśród gałęzi bambusu, jak dziki zwierz uwikłany w sieci.

ŁODZIE PAPIEROWE.

Dzień za dniem puszczam swe łodzie papierowe jedną za drugą z falą pędzącego strumienia.

Wielkimi czarnymi głoskami piszę na nich swe nazwisko i nazwisko wsi, w której żyję.

Mam nadzieję, że znajdzie je ktoś w obcym kraju i dowie się, kto jestem.

Napełniam małe te łodzie kwiatem shiuli¹⁾ z naszego ogrodu i mam nadzieję, że kwiaty te, zerwane o świcie, dopłyną szczęśliwie nocą do łądu.

Puszczam papierowe swe łodzie i patrzę ku niebu i widzę, jak małe obłoki rozpinają swe białe, nadymające się żagle.

Nie wiem, co za towarzysz mojej zabawy wysłała je, na niebie, poprzez przestworza, ażęby się ścigały z memi łodziami.

Gdy przyjdzie noc, twarz zakrywam rękami i marzę o tem, jak me łodzie płyną i płyną wśród gwiazd północnych.

Elfy marzeń żeglują w nich, a ich ładunkiem są kosze, napełnione snami.

ŻEGLARZ.

Łódź retmana Madhu zarzuciła kotwicę u wybrzeża Rajguny.

Ma bezużyteczny ładunek konopi indyjskich i stoi tak oddawna bez celu.

Gdyby on zechciał tylko wypożyczyć mi swą łódź, zaopatrzyłbym ją w sto wiosel i naciągnąłbym żagle, pięć albo sześć lub siedm.

Nie sterowałbym nigdy ku głupim targowiskom. Popłynąłbym po siedmiu morzach i trzynastu rzekach kraju z baśni.

¹⁾ Ciastunek oleaceów, drzewo lub krzak, podobny do jaśminu, wonny kwiat ów otwierający się w nocy, używany bywa do zabarwiania potraw i wyrabiania eterycznego olejku.

Nie prawda, matusiu, nie płakałabyś po mnie w kąciku.
Nie pójdę do lasu, jak Ramachandra¹⁾, aby wrócić dopiero po
latach czterystu.

Zostanę królewiczem z bajki i ładować będę łódź mą, czem
zechcę.

Wezmę ze sobą przyjaciela Ashu. Popłyniemy wesoło siedmio-
mą, morzami i trzynastoma rzekami kraju z baśni.

* * *

Rozepniemy żagle o wczesnem świetle porannem. Gdy w po-
łudnie kąpać się będziesz w stawie, będziemy w kraju cudzoziemskiego
króla.

Miniemy bród Tirpurni i zostawimy za sobą pustynię Tepantar.
Gdy powrócimy, zacznie się ściemniać i ja ci opowiem wszystko,
cośmy widzieli.

Przełynę siedm mórz i trzynaście rzek kraju z baśni.

DRUGI BRZEG.

Chciałbym się dostać stąd na tamten brzeg rzeki — gdzie one
łódzie przywiązane są rzędem do pniów bambusowych. —

Gdzie ludzie przypływają rankiem w swych łodziach, z pługami na
ramionach, by swe dalekie obrabić pola. —

Gdzie pasterze przeprowadzają wplaw swoje стада na nadbrzeżne
pastwiska. —

Skąd wieczorem wracają do domu, szakale wyjące pozostawiając
na wyspie, zarosłej zielskiem.

Matusiu, jeśli pozwolisz, zostanę retmanem łodzi, gdy urosnę.

* * *

Mówią, że dziwne kryją się bagna poza tym brzegiem wysokim.

Gdzie стада dzikich kaczek jawią się, gdy przejdą deszcze, i gęste
trzciny rosną na skrajach, gdzie ptactwo wodne składa swe jajka.

Gdzie słomki z trzęsącemi się ogonkami wydeptują ślady swych
nózek w gładkiej, rozmokłej ziemi.

Gdzie wieczorem wysokie trawy z grzebieniem białego kwiecica
zapraszają promień księżyca, ażeby płynął po ich falach.

Matusiu, jeśli pozwolisz, zostanę retmanem łodzi, gdy urosnę.

Płynąć będę tam i z powrotem od brzegu do brzegu i wszyscy
chłopcy i dziewczęta ze wsi podziwiać mnie będą kąpiącym.

Gdy słońce wybije się do średnicy niebios a poranek rozplynie
się w południe, przybiegnę do ciebie i powiem: „Matusiu, ja głodny!”

Gdy przejdzie dzień i cienie przykucną u stóp drzew, powrócę
o zmierzchu.

Nigdy nie pójdę od ciebie do pracy do miasta, jak ojciec.

Matusiu, jeśli pozwolisz, zostanę retmanem łodzi, gdy urosnę.

¹⁾ Jedna z inkarnacji boga Viśhnu.

SZKOŁA KWIATÓW.

Gdy chmury orkanne tłumią się na niebie i czerwcowe spadną szarugi.

Wilgotny wiatr wschodni popędzi poprzez wrzosiska, ażeby wśród trzciny bambusowej zagrać na swych dudach.

Wówczas to jawi się nagle ciżba kwiatów, niewiada nikomu, skąd, i tańczy na trawie w dzikiej radości.

Matusiu, doprawdy, ja sędzę, że kwiaty te chodzą pod ziemią do szkoły.

Odbywają lekcje przy drzwiach zamkniętych, a gdy zechcą wydać się na zabawę, nim przyjdzie ich pora, nauczyciel stawia je w kącie.

Gdy przyjdą deszcze, to dla nich wakacje.

Gałęzie w lesie uderzają jedne o drugie, liście szeleszczą w dzikim wietrze, obłoki gromowe klaszczą w olbrzymie swe dłonie i dziatwa kwiatowa wybiega w swych strojach różowych, żółtych i białych.

Wiesz, matusiu, rodzinne ich gniazdo znajduje się w niebie, tam gdzie są gwiazdy.

Czy nie widziałas, jak gorąco pragną się tam dostać? Czy nie wiesz, dla czego tak się spieszą?

Prawda, mogę odgadnąć, do kogo wyciągają ramiona: mają swe matki, jak ja mam swoją.

KUPIEC.

Wyobraź sobie, matusiu, że zmuszona jesteś pozostać w domu, a ja muszę udać się do obcych krajów.

Wyobraź sobie, że łódź ma czekać u brzegu z ładunkiem.

A teraz namyśl się dobrze, matusiu, co ci mam przywieźć, wróciwszy.

Matusiu, trzeba ci złota, ogromnie dużo złota?

Tam u wybrzeży złotych strumieni są pola, pełne złotych zbiorów.

A w cieniu ścieżki leśnej złociste kwiaty champy strącają swą rosę na ziemię.

Nazbieram ich dla ciebie w setki koszyków.

Matusiu, przynieść ci pereł, grubych, jak krople deszczów jeśnionych?

Popłynę ku wybrzeżom wyspy perłowej.

Tam, w wczesnym świetle poranku drżą perły na kwiatach łąk, perły padają na trawę i perły lśnią i rozbryzg perły dzikich fal morskich lśni się na piasku.

Brat mój dostanie parę rumaków skrzydlatych, aby mógł lecieć razem z chmurami.

Ojcu przywiozę zaczarowane pióro, aby bez jego wiedzy, pisało samo przez się.

Dla ciebie, matusiu, muszę mieć skrzynkę: klejnot, kosztujący królestwo siedmiu królów.

WSPÓŁCZUCIE.

Gdybym był małą tylko psiną, a nie twem dzieckiem, droga matusiu, czy rzekłabyś „nie!” gdybym próbował jeść z twego talerza?

Czy odpędziłabyś mnie, mówiący: „Idź precz, ty mały psiaku wstrętny?”

Idź sobie wtedy, matusiu, idź! Nie przyjdę nigdy do ciebie, gdy mnie zawołasz i nigdy już więcej karmić ci się nie dam.

* * *

Gdybym był tylko małą zieloną papuzką, a nie twem dzieckiem, droga matusiu, czy też trzymałabyś mnie na łańcuszku, ażebym uciec nie mógł?...

Czy pogroziłabyś mi palcem i rzekła: „Co za nieznośny łotrzyk ten ptak! Dzień i noc gryzie swój łańcuch!”

Idź sobie wtedy, matusiu, idź! Ucieknę do lasu, nie dam ci się już nigdy chwycić w objęcia.

(C. D. N.)





ALEKSANDER OLKIEWICZ.

ZNAJDA.

(C. D.)

— Ady nie bójta się!... — czuł potrzebę uspokojenia starych. — Jo tylko tak sobie... Z uciechy... Zaś bym tam którą różgawyciał... Dąbkowa łeb by mi oskubała — jak

bym skrzydło przetrzął albo okulał!... Nie bójta się, głupiel!... A gaś!... A gaś!... Hela... na pole... he-la!...

Ma się rozumieć — zapewnienia Franka skutku zrazu nie odniosły, bo stare gęsi długi czas koso się na niego patrzyły. Miał się sam też na baczności, by go która nie ugryzła — nie dla tego, żeby bolało, ino — śmiech... przez gęś być poszczypianym...

Kilka dni trwały naprężone stosunki, aż — w końcu — ułożyły się dla obu stron bardzo pomyślnie. Stare matki-gęsi zaczęły darzyć Franka coraz bezwzględniejszym zaufaniem — on im nie pozostawał dłużnym — doszło wreszcie do wielkiej życzliwości, zwłaszcza gdy objawy Frankowej dla stadka życzliwości stały się aż nazbyt oczywiste i mnożyły się z dnia na dzień!...

To goszczki im narwał w kartoflach — to, z poświęceniem niemałym, dużym odwagi nakładem i ryzykiem psa czającego się odpędził kamienia celnym pociskiem? — lub innego czworonogą w przyzwyczajonej odległości — iżby nie niepokoiły się niepotrzebnie stare...

Skorno świt — był już na nogach...

Trudno było mu zrazu pomiarkować, które pole jest ich, a które nie?... — i dla czego tu paść wolno, a tam znów niewolno?... Ta „niewiedza“ była źródłem nieustannych w ciągu pierwszych dni kilku konfliktów z sąsiadami, którzy aż nazbyt żarliwie i wymownie wpajali mu — wypróbowanymi zresztą środkami — niezbędne z dziedziny ogrodowej, polnej lub łącznej geografii wiadomości. Powoli — co prawda — ale i w tym kierunku pewne robił postępy. A byłby mniejszym kosztem sumę niezbędnych wiadomości zdobył, żeby nie pogmatwane ciotki Dąbkowej na różne zawile sprawy poglądy, które mu również przy pomocy swojskiego systemu pedagogicznego wpajała...

Za co jedni bili — drudzy chwalili...

Puścił gęsi za miedzę, żeby się lepiej najadły — przylatywał sąsiad i dawał Frankowi w skórę... Gdy

wrócił do domu — Dąbkowa chwaliła go za to i kawał chleba na otarcie łez dostawał...

Ta biegunowa rozbieżność w ocenach jednego i tego samego faktu — zamęt niejaki do Frankowego spraw świata tego pojmowania wprowadzała.

No, ale z czasem — kosztem ofiar nadmiernych na rzecz tak zwanego „w skórę brania“ — porobił i w tym kierunku dostateczne postępy...

Dostawał, bo dostawał, ale — wiadomo — nie darmo na tym świecie... — a tak zwane doświadczenie, drogo nieraz kosztuje...

Ale — opłaci się!...

Kosztem tych wszystkich ofiar — stanął Franek pewną stopą na pierwszym w tamecznej hierarchji — szczeblu — został pasturkiem.

Było mu teraz o wiele lepiej. Z racji swego stanowiska — większą część dnia spędzał poza domem, a co zatem — mniej był narażony na złego humoru Dąbkowej wybuchy.

Przebywając ciągle w polu — jeszcze więcej od domowników odwykał i czuł straszną w okół siebie pustkę. Ani to z kim pomówić miał, ani to — do kogo przytułić. A masę się w nim przeróżnych nagromadziło żęczy i coś go wiecznie do kogoś pchało. Ile razy — to łzami sobie ulżył, to znów — ciężkiem westchnieniem...

Wczesny letni świt...

Jeszcze się ludziom ani śni o wstawaniu — Franek już na nogach. Po cichutku się z izby wyknął — gęsi wypuścił — i zajma...

Miękkie kłęby białych mgieł prawie tuż nad samą zawisły ziemią, że o dziesięć kroków nie nie widać. Cichość wielka wszędzie...

Czegoś — strach...

Żywej duszy na ulicy...

Franek skulił się w sobie i za wysnuowaniami gęsiami dreptał. Teraz już różgi nie potrzebuje — same idą...

Na działce rozejrzał się w koło, czy już kto nie pasie...

Nikoguchnu ze znajomych nie widać rówieśników... Za to — bez dwie działki dalej — jakaś opatulona w chustkę dziewczucha siedzi sobie na miedzy.

— Kto to może być?...

Na Filipkowym pasie — to wie napewno... Już on dobrze pamiętał...

Tam go w szkodzie złapał Filipek i — zbił...

— Nic ino Filipowa dziewucha!... zaopiniował stanowczo.

Lecz zaraz — wątpliwości...

— A może puściła w szkodę — !?

Na to przypuszczenie — mignął Frankowi przed oczyma pędzący z rzemieniem albo batem Filipek... Trwoga...

Wspomnienie ciągów — bolesne, jak sama rzeczywistość...

Poderwał się raptownie i z całych zawołał sił:

— Te-e-e... dziewucha-a-a!...

— Co-o-o... kcesz?... odkrzyknęła.

— Filipek idzie!...

— To co-o-o-o...?

— Uciekej, bo cię zbije!...

Bez co-o-o... me zbije!...

— W szkodę mu puściłaś gęsi...

— Kiedy to na-a-a-szel!...

Zbyt się nagle o nią trwogi Franek podszedł bliżej.

Toś ty Filipkowa?...

— Ych!... kiwnęła głową.

— Filipek twój ociec?...

Nie — mój umarł... — odparła naraz smutnie.

A matkę gdzie mosz?...

— W zimi... westchnęła ciężko, jak dorosła.

— Jakto — w zimi?... — dziwił się.

— No — tyż umarła!...

Rozmowa się urwała Franek stanął zakłopotany.

Teraz ona pytać zaczęła:

— A ty czyj jeźdes?...

— Ciotki Dąbkowej...

— A kaj mosz matkę?...

— Jaką matkę?... — pytał zdziwiony.

— No... zwyczajnie — matkę!... Każdy mo matkę...

— Jo mom ciotkę...

— To matka ci umarła?...

— Nie wiem...

— A ociec twój gdzie?...

— Nie wiem... odparł głucho.

— Toś ty sirota...

Prysnęła się bliżej z ufnością do niego.

— Jak się nazywosz?...

— Franek!... a — ty?...

— Walera...

Na śmierć — na życie — przyjaźń z sobą zawarli od jednego spojrzenia.

Pod wieczór, gdy gęsi przypędził do domu — do ciotki, do Dąbkowej podszedł i nieśmiało spytał:

— Ciotka...

— Czego znów chcesz ode mnie?... — fuknęła.

A to... a to... — gdzie mój tata?...

— Twój tata?... twój tata to widzisz... — pozwoli cediła... w maślonce się utopił!...

— A matka?...

— Matka?... matka — w kwaśnem mliku!...

— W kwaśnem mliku?... — dziwił się.

— A w kwaśnem... a w mliku...

Nazajutrz z daleka Walery wyglądał i skorno ją dojrzał — z tryumfem zawołał:

— Walera — a — a!...

— Co kcesz?...

— Wiem — gdzie mój tata!...

— No-o-o...?

— W kwaśnem utopił się mliku!... — pokreśliło mu się.

— W mliku — !?...

— A w mliku!... — krzyknął stanowczo i z dumą pewną.

— A matka?... pytała zdziwiona.

— W maślonce!...

— W maślonce!?...

Ani powstało w myśli Frankowi, że ciotka cygani.

Od tego czasu — mniej tego było Frankowi na świecie. Raz, że się nareszcie od ciotki dowiedział — co z mamą i tatą, a potem — miał już z kim gadać...

Przeszło lato — skończyło się mile pasienie... Słotna przyszła jesień — za nią w te pędy sroga ciągnęła zima.

Straszna dla Franka nastała pora. Po całych dniach wszyscy siedzieli przy kominię i nawet nosa żaden na świat nie wysciubił. Ciasno było w małej stancyjce wszystkim, a już Frankowi — najciaśniej. Jak mógł — tak się kulił — miejsca ustępował każdemu — byleby pod rękę nie wchodzić Dąbkowej, która o bele co — zaraz się brała do bicia...

Dzieciaki jeszcze bardziej dokuczały Frankowi, niż matka. A już najstarszy z nich, czternastoletni Wawrzyn, postrach całej miejsciny — jakby się specjalnie na Franka uwziął. Ile razy koło niego przeszedł — nie zostawiał go w spokoju. To go popchnął lub uszczypnął, to znów — ni stąd, ni zowąd pod adresem Franka wołał:

— Te znajda, nie zaczynaj się!...

Na to warczała głucho Dąbkowa, aż ciarki latały Frankowi po skórze.

— Ino mi ta nie siedź cicho, Znajdorzel!... Ino mi ta nie siedź!... — groziła. — Patrzcie go — psie nasienie!... Człowiek od gęby sobie odejmuje, żeby to — to z głodu nie zdechło, a ten mi tu dzieciaki potyra jeszcze!... Widzicie go, znajda!... Nie możesz

go, Wawrzon, w pysk kopnąć, aż mu juszka poleci?!... Jak mi świętej nie stanie cierpliwości — wyrzucę... — jak psa — wyrzucę!... Marznij z zimna — zdychej z głodu!... Wyrzucę i — raz temu konieci!...

Franek słuchał tego warkotu i aż skóra mu cierpła ze strachu — i patrzył aby — rychłoli schwyci co w łapę i zacznie go walić — gdzie popadnie!...

Dobrze jeszcze, gdy się kończyło na krzyku, choć i to go chłostało okrutnie. Często wolałby, żeby go zbila, jak nie wiem co, a nie krzyczała, nie wymyślała...

— A-a... kotki dwa!... A-a... kotki dwa...
Nic — nie — bę-dą — ro-bi-ty!... Tyl-ko — Ce-się ba-wi-ty!... Aa — aa... aa — a!...

Przestał raptem mruczeć i kołysać.

— Ufl... — zmęczył się.

Jeszcze — „szare... bure obydwą”... — ale już nie będzie! Dosyć!... I tak Ceśka usnęła... Musi zajrzeć do kuchni — czy nie wygasło...

O ciut-ciut!...

Zakrzętnął się żwawo — ruszta poruszył i torfu przyłożył...

W porządku!...

Dzieciaki się gdzieś porozłożyły — Dąbkowa wyszła... Jest sam...

Dobrze mu... oj!... i jeszcze jak dobrze...

Nagle zważyło się na Franka zamyślenie.

Dokuczają mu... ba!... Po co go ojciec i matka dali Dąbkowej... prosił ich to — mówił im to, co?...

I gdzie sami siedzą?... Bo to — że w maślanec i — kwaśnem mliku, co Dąbkowa mówiła, to na śmiech ino! Zaśby ta wielki człowiek w maślanec się utopił!... W jeziorze... — no!...

Ale w kwaśnem mliku — !?... Nie — nie!... Już on dobrze wie — Walerka mu wszystko powiedziała... Ho-ho!... Tylko czemu go ciotce Dąbkowej dali?...

Palące pytanie mózg z zawias wysadza — krtań dławii wzruszeniem — a na język dziecięcy napiera szydlive — zjadliwie:

— Taki ocieci!... Taka matka!...

I żyje w ustach — goryczą a piolunem zaprawne — nienazwane przekleństwo... Nie wyrzut, a — przekleństwo!...

Na „piereminkę” wpadł Wawrzon do izby.

— Te ...Znajda — gdzie matka?...

— Poszła gdzieś...

— Wiem, że poszła, ale — gdzie?...

— Nie wiem...

— Ty był co wiedział!... zabrzało pogardliwie. Wawrzon wiercił się po izbie — czegoś na

wszystkie szukał strony... Węszył i penetrował w serwantce i w szafie — komodzie i szufladach...

Aż znalazł — matczyn pulares.

Obejrzał się, czy Franek nie patrzy.

— Te... Franek — nie powiesz?... — prosił przymilnie.

— Co mom zaś mówić...

— No... pamintej sobiel...

Wyjął coś z pularesu — poczem na swoim położył go miejscu — i jeszcze od proga upominał:

— Franuś... — ino nie mów!...

— No... no... — już się nie bój!... zapewniał gorąco Franek, ujęty do głębi tem — Franuś — mitem, a nie szorstkiem — Znajda.

Jakoż nie powiedział i na dzień cały zyskał sobie w Wawrzonie gorliwego poplecznika i obrońcę. Poczuł się Wawrzon z Maryną o Franka — pomógł mu dREW nanosić — pokryjomu go cukierkiem i bułką poczęstował — ba!... — na lód go nawet wziął z sobą, łyżwy mu swej kopyciarki pożyczyl...

Cóż — kiedy się to wszystko boleśnie dla Franka skończyło.

Przed pójściem spać, jak zwykle, wzięła się Dąbkowa do przeliczenia pieniędzy w pularesie. Dla Wawrzona i Franka nastąpiła chwila ogniowej próby. Zdawał sobie jasno z tego momentu sprawę Wawrzon — z matki oczy nie spuszczał: pozna czy nie pozna?... i jednocześnie dawał Frankowi wzrokiem porozumiewawcze znaki. Franek rozumiał, o co rzecz idzie... Ssąc ukradkiem cukierka, otrzymanego na znak nowego przemierza od Wawrzona, odpowiadał tą samą drogą: no!... no!... już ty się nie bój — nie powiem!...

Dąbkowa tymczasem skończyła liczenie.

Ani węz — dwu złotych brak.

Albo zgubiła, albo się zmyliła, albo...

Przeliczyła ponownie pieniądze...

To samo — dwa złote zginęły!...

Zgubić — nie zgubiła, wydać — nie wydała...

Nic — ino któraś z dzieciaków wzięło...

Nikt — ino Wawrzon — „wisielok”!...

— Wawrzon!... — krzyknęła groźnie.

— Co mama kce?... — ani się zająknął.

Naraz zawołała Maryna:

— Mama... — Franek mo cukierki!...

Na trzęsącą się z gniewu Dąbkową padła iskra podejrzenia — i momentalnie, niby alup ognisty wybuchło podejrzenie:

— Znajda ęre cukierki!...

Aż ją coś z miejsca uniosło. Dygocąc i sapiąc z gniewu — podeszła groźna do Franka.

— Skąd to masz?... — wykrztusiła.

We Franka jakby piorun uderzył!...

— Do...do...stałem... — wybąkał i cały w ogniach stanął.

— Od kogo — mówił, — szarpnęła nim.

W tę porę — Wawrzon zaś chrząknął znacząco. Franek zrozumiał...

Lęk straszny, lęk dla wiary — rozpędził na wszystkie strony myśli — pchał go ze wszystkich sił, żeby powiedział — od Wawrzona... Zaś pamięć Wawrzynowych dowodów nagłej zycżliwości — wzięła go za hals i — ani mru-mru!...

Do tego Wawrzon tak błagał — tak skomlił ślepiami...

Nie powiel ...Żeby tam nie wiedzieć co — ani mru — mru!...

Dostanie — to dostanie, ale — ani słówka!...

Niel ..Niel Pasował i mocował się z sobą.

— Od kogo — mówił... — ugodziło w niego niby smagnięcie do krwi batem.

Zebrał się w sobie — zaczął — i — prosto, śmiało: — Od kogoś!...

Dąbkową aż coś podrzuciło.

— Mów mi tu zaraz od kogo — cholero jedna! — bo nie wiem co z tobą zrobię!... — warknęła nad nim.

— Nie wiem! ..Nie wiem i — już!...

Jakby ją kto warem oblał — skoczyła jak oparzona. — Nie wiesz! ..Nie wiesz... — cedziła po sylabie — ty, psie nasienie! ..Ty, kurewskie dziecko!... Pieniądze będziesz mi kradł i cukierki kupowa! Ty cholero jedna! ..Ty, psie zatracony! ..A mosz! ..A mosz!... — zaczęła go w zapamiętaniu okładać rzemieniem, gdzie popadło...

Dzieciaki pochowały się po kątach i — w płacz!... Franek trząsł — ani jęknął. Dopiero — gdy mu krew skądśis trysnęła — z bólu ledwo ziplać — wyjęczał cichutko:

— Ciotko — to nie ja! ..Ciotuchno, już nie!... — skomlał.

— Nie ty... nie ty... — a kto?... — wstrzymała ciosy, bo jej się samej żal Franka zrobiło. — Powiedz — kto ci doł cukierka — powiedz — kto?...

Piekący ból i wstrząsające szlochanie do cna osłabiły Franka i o mały włos do jego bohaterskiego nie dobrały się postanowienia.

— Wawrzon mi doł cukierka...

— Jo ci dołem?... — przyskoczył tamten i drańskim we Franka ugodził wzrokiem.

— Ady ty...

Dźwignęło się naraz w Dąbkowej sumienie.

— Wawrzon! — zawołała groźnie.

Ale Wawrzon nie z takich opresji wychodził bez szwanku.

Janas matce wytłomaczył — co i jak było. Na „piereminkę“ zajrzał do izby — a tu Franek akurat pulares trzymał w łapie.

Dał mu jeszcze Franek złotówkę, żeby nie naskarzył.

— Mo ją mama...

— Nie cyganiarz?...

— Jak Bożę kochom — nie!... — grzmotnął się w dekę pierśiową.

Inne dzieciaki solidarnie go poparły — wszystko poszło na jęczącego z bólu Znajdę.

...Wawrzon porwał — jego obili...

Z tym cukierkiem — powiedział, ale z pieniędzmi — ani mru-mru!... Nie wydoł Wawrzona!...

— Nie wy - doł!... — chyłkiem — chyłkiem, omijając myśli bolące,niosła duma pocieszenie niejaki. — Bili go, a on nie!... — biła we Franku wołaniem, by mu tylko przesłonić cięgiw piekących pamięć. Dźwignął się bunt — zaczął zęby Frankowi — jadem myśli szaleńcze zaprawił.

— Pies! ..pies! — wymierzał w próżnię ciosy, aż świstało. — Pies i — kwita!... Wa-wrzo-nisko!... zgrzytał zębami, jakby coś gryzł i powoli zasnął.

Nowa nadeszła wiosna i — znów zelżała cokolwiek Frankowej doli srogość. Miał mu się na dziesiąty — śmigał od ziemi, że aż ha!... — bez mała na parobczaka wyglądał. Posunął się też o jeden szczebel wyżej i — zaczął pasać krowę.

Krówsko było narowne — nacierpiał się też z niem niemal. Do żniw oprowadzał krowę na powrozie po miedzach i rowach, ale że była od niego mocniejsza — zdarzało się często, że nie on nią kierował, a ona go z sobą ciągnęła i — w szkodę!... Dostawał za to bicie, ale mógł to krówaku uradzić! Po żniwach pasanie stało się lekciejszem. Że to już prawie wszystko sprzątnięte — puszczał krowę luzem: niech se ta po ścierniu łazi i skubie — sam zaś do chłopaków leciał, żeby z nimi podokazywać i pogwarzyć. Lgnął do nich i garnał się z całego serca i całej duszy. Żeby go ino nie odpędzali od siebie — nadszakał wszystkim, przypodchlebiał się, czem tylko mógł, wysługiwał. Pozbadli go też prędko i eksploatowali, ile się dalo. Ciagle słyszał:

— Te, Znajda, nawróć łaciata!...

— Te, Znajda, nie daj moi w kartofle!...

Jak mu który czasami — Franek — powiedział, a nie — Znajda, gotów był do najcięższych usług. Wołał wtedy bez namysłu i ociągania się swego pomocnika, Bukieta, i:

— Hezie go byka, Bukiet!... Hezie!... Zaganiaj szkody!... Ady go... Hezie byka!...

Bukietowi nie potrzebował dwa razy rozkazu powtarzać. Psisko przywiązało się tak do Francka, że na jego skinięcie — podrywał się piorunem z miejsca — pędził jak strzała wyciągnięty, aż się za nim kurzyło.

Wszystko na świecie blaknie i płowieje — pątną szarzynę się pokrywa — z ogólnym tłem zlewa i — staje się niedostrzegalnym, jakby niknęło.

Nie potrzeba już więcej — jak z Frankiem było. Przez kilka dni tylko o nim i o Dąbkowej wszyscy mówili — a teraz, po latach dziesięciu, nawet pies kulawy o nim nie pamięta. Franek wsiadł w spleśniałe tło mieściny i ani śladu w ludzkiej pamięci o nim. Mało to każdy ma swego na głowie!... Mało się to musi nauczać, nachorować, żeby jakoś żyć i koniec z końcem związać...

Tu France trzewiki, tam Walkowi buty... tu scerować, tam — załatać i — troska dnia największa — co dzisiaj gotować?... Ani się człowiek obejrzy — już dzień zleciał...

Zaś w rzadkiej chwili wolnej — kiedy myśl od własnej oderwie troski — do sąsiada duchem biegnie — rozgląda się ciekawie, co gdzie komu dolega — by własną gorycz trosk obcych widokiem osłodzić sobie — bo to tyś goły, bracie, a jo nagi... więc lekciej się robi na sercu i duszy...

Gdy u sąsiada niema się tak bardzo czem pożywić — do kumy, do kochanej...

Akurat Franek krowę tędy pędził i oto — kuma do kumy w te słowa:

— Patrzenie go, jaki to chłop wyrósł!

— Wykapany tata...

— Na kogo już znowu pomyślenie macie?...

— Różni ludzie bajają...

— Mówcie no!...

— Ady adwokata z Brojewa i jego gospodyni...

— Jaż tu o trzy mile przynieśli?...

— A tu... — żeby zatrzeć ślady!...

— Mościewicz!... z oburzeniem pomieszane słychać westchnienie.

— Pamintom jak dziś...

— A tu już bez mała lat z dziesięć...

— Z Walkiem wtedy chodziłam — to ile to będzie... zaraz... — siega kuma do wspomnień, a po chwili, po malej: Lat dziesięć jak obaszyl!... obwieszcza.

— A jak mu to dali — pamintocie to?...

— Jeszcze by też!... — Niedziela...

— Pokraczne nazwisko...

— Cudaczne, kumciul...

Przypomniały sobie nagle o Niedzieli kuny i już teraz — gdzie się tylko pokazał Franek, nijak nie wołali — ino:

— Te... wtorek, jak się mosz!...

— Te... piątek, kiedy — Niedziela?...

— Te... środa — dobra woda!?...

Zwłaszcza dzieciaki — używały co niemiarą.

Franek wołałby już to pogardiwe — Znajda — stare — zwierzczale — z którym się otrząsał, niż to — Niedziela, wtorek albo piątek...

Po wykopkach już dawno — ludzi ani dojrzeć — a Franek wciąż jeszcze wygania krowę w pole.

Że to już posiane, więc znów na postronku...

Zimno nie to, żeby mróz... nie!... ino tak jakoś... Wietrzyśko ze wszystkich stron podwiewa — deszczem zacina, że ni jak nie można się ochronić przed zimniskiem...

Kawał czasu wej — jak inne chłopaki pasać przestali, aby jego Dąbkowa wygania...

Ale dziś — już ostatni raz...

— Żeby tam nie wiedzieć co — ostatni!... — zawzina się.

...Będzie wyganiała — nie pójdzie... Nie pójdzie i — już!... Wybije — niech tam... Ale — nie pójdzie!... Sama powiedziała — że ostatni!...

„Aby ten jeszcze razik — niech se ta podeżre króćsko... Aby ten razik... — przymilny głos Dąbkowej nasuwa pamięć. — E — ech!... cygani jak pies... Co dzień tak mówi — co — dzień ostatni!... Znomy się hol... hol... — znomy!... Ciotka niby — a o bele co — zaraz bije i — wszystko na niego!... Ciotka: a w pole go na deszcz wygania... Ciotka — a w podartych portkach każe mu łązić i w wujowej sukmanie...

Markotność strasznie dławi kleszczami Frankową krtani. Ciut — Ciut się nie rozbeczał...

— Gdzie, psie stworzenie, w szkodę — gdzie!?... szarpnął postronkiem i na króćsku, na łaciecie złość nagle wywarł.

Nie czekał wieczoru — ino pognął do domu.

Koło Filipka stodoły już był...

Patrzy — a tu pod wrotami jakaś łatka...

Chusteczka — nie chusteczka — podniesie ją.

Odwija prędko — przedziutko...

+ Pieniądz!... Rety!...

Wielka, niezmierna radość...

Rozejrzał się w okół, czy aby kto nie patrzy i prędko schował pieniądze za pazuchę.

Skoro oprzątnął krowę — Wawrzona na podwórzu wywołał...

Wawrzon, choć już z byle smarkiem się nie zadaje — bo kurzy już papierosy, wąsy mu się pipią i — strzyka śliną przez zęby wprawniej od samego taty — wyszedł za nim:

— Co chcesz?... niedbale rzucił.

— Patrz co jo mom!... — pokazał mu Franek pieniądze.

Aż mu ślepią w wierzch ze zdumienia wylazły.

— Skąd ty to masz?... —

— Znalozym!...

— Gdzie?... —

— Koło Filipka stodoły...

— A nikt nie widział?... —

— Nikt!... odparł pewny siebie Franek.

— To dej mi ze dwa...

— Weź sobie, ile kcesz!...

Wawrzon wziął dwa papierki — resztę kazał Frankowi schować — poczem obaj, wspólną złączeni tajemnicą, ruszyli do kramu po papierosy i inne przyjemności.

Na drugi, czy na trzeci dzień gruchnęło po mieście:

— Filipka okradli złodzieje!...

Więc zaraz — co, gdzie i kiedy?... — szeroko — rozgłosnie...

— Dobry węch mieli...

— Ba!... kto ma mić węch, jak nie złodzi!...

— Mówią, że to swój był...

— Bogać ta obcy...

— Ale żeby w biały dzień!...

— I nikt nie wychodził z chałupy!...

— Nic — ino swój!...

— Ale kto?... —

— Bóg raczy wiedzieć...

— A może zgubił —?... —

— To samo Filipowi mówi — uchłół się i zgubił!...

— A on co?... —

— Nic — ino żeby go nagła śmierć — jak nie zgubił!... I już przez tentu dzień cały gorący człek każdy się biedzi w kłopotcie:

— Kto taki?... —

Nie dośpi, die doje — robotę porzuci, a ciągle:

Kto taki?... —

Myśl ciągle kółuje — nicuje — nawraca, to tu się zatrzyma — tam trochę powęszy i — szuka a szuka złodzieja...

Gdy jakieś poszlaki na wroga się znajdują — radość, uciecha i — zaraz cicho — cichutko:

— Ktoby to się był spodziół!

— Taki człowiek porządny...

— Zaroz mówiłam — z oczu mu źle patrzy!...

Lecz krótka jest radość i krótka uciecha, bo — nie on!...

— Więc — kto?... —

Nie wiada!...

Wymowne spojrzenie myśl ludzką tłumaczy i — zawód.

— A jo myślałym...

— Tyś myślał... tyś myślał!... — przedrzeźnia rad człowiek szydlowie sąsiada.

Przez dwa dni i trzy dni — nie ino — kto taki?... —

Aż nagle — z jasnego piorun nieba: już go mają!...

— I znoleźli — podacie?... —

— Papierków z dziesięć po pięć i — chusteczkę...

— Co mówił?... —

— Że znalazł, pada, pod wrotami...

— Widzisz go — znalazł!?... —

— Mościewy — od ziemi to nie odrosło — już kradnie!

— Wiadomo — złodziejakie nasienie!...

Ktoby się spodziół — taki smarkul!?... idzie w ślad za tem zdumienie.

— Do kozy go wsadzą —?... —

— A wsadzą i — w skórę porządnie — niech nie kradnie!

I został już Franek złodziejem.

Że znalazł — tłumaczył, na wszystko przysięgał...

— Nie mnie... głupiemu — mów, bratku!...

Po wyjściu z kozy nie wrócił już do Dąbkowej Franek. Tułał się dni kilka po mieście — z piętnem złodzieja na czole — budząc wszędzie swoim ukazaniem się podejrzenia...

Chęć odwetu i zemsty trawiła mu duszę...

Z głodu — ścigany podejrzeniem — na pierwszą odważył się kradzież.

Dźwignęło się sumienie nieskazitelne — wielkiem napomniem wołało głosem, lecz krzyk krzywdy głużył te wołania.

Ukradł to i — co?... Powiedzieli na niego... Nie ukradłby: — to samo!...

Kibini matry!... przejętem od pobytowca dązały zaopiniował słowem i wszelkie wyskokki głużył sumienia — skrupułom zadawał śmiertelne ciosy.

Na śliskiej a pochyłej występku drodze zrobił krok pierwszy — najtrudniejszy...

Byłby się może zatrzymał i cofnął, gdyż całem jestestwem wzbraniał się pozwolić sobie na krok drugi...

Aliści — czuł — jak go coś pcha, z wielką siłą pcha w dół...

Mimo rozpaczliwych wysiłków — nie mógł się przeciwstawić w żaden sposób temu parciu...

Podejrzliwość ludzka na barki mu się zwała i spychała...

MUZYKA W POLSCE PO CHOPINIE.

Próba syntezy.

Napisał Dr. Adolf Chybiński
prof. uniwersytetu lwowskiego.

(Ciąg dalszy).

To niedowierzanie awym dziełom muzycznym nawet bardzo wartościowym obok kultu dla rzeczy estetycznie przeciętnych spotykać można u nas na porządku dziennym. Wina w tem leży tylko po stronie nie zrównoważonej krytyki i czynników wykonawczych, którzy w wyborze dzieł niezawsze kierują się względami li tylko artystycznymi i nie wszystko co wartościowe równą otaczają starannością. Nie można jednak mimo całego sentymentu ojczyznotę pominąć jeszcze jednej przyczyny: jest nią niewątpliwie fakt, że nie posiadamy dotąd dzieła operowego, które jako całość przedstawiałyby wartość artystycznie niespożyta, i to nie tylko dla nas ale i dla obcych. Są w polskich operach ustępy wielkiej piękności, zwłaszcza w lirycznym rodzaju, ale poszczególne ustępy nigdy operze nie zapewniły trwałości (przykład: niektóre opery Mozarta, Webera, Rossiniego, itd. itd.). Przekonano się zresztą o prawdziwości tego stanu rzeczy i u nas, próbując wznowić niektóre opery Moniuszki, lub nawet wcześniejsze. Niestety okazało się, że wszystko to, co na polu opery stworzono u nas przed Moniuszką, posiadała tylko historyczne znaczenie: żadnej z oper Kamińskiego, Stefaniego, Elanera, Dobrzyńskiego, Kurpińskiego i innych talentów mniejszych nie zdołano mimo usiłowań przywrócić życia. Tkwi w nich sporo eklektycyzmu, a jeśli te opery są mimo wszystko dla nas ważne, to raczej jako dowody budzącej się potrzeby stworzenia narodowej opery. Z wielkimi tematami historycznymi nie umiano sobie na razie poradzić, bohaterski ton był wszystkim tym kompozytorom obcy, nawet nieznanym, łatwiej było im wybrać tematy z życia ludu polskiego, gdyż scena stanowiła odpowiednie ramy, dla barwnych tańców i pieśni lirycznych, śpiewanych przez solistów lub chór. Mogło to stanowić nawet przy nikłej akcji dramatycznej przyjemną dla szerszej publiczności muzyczną apoteozę życia na wsi z jego smutnymi i wesołymi epizodami. Wszędzie widać to zamilowanie do sielankowych nastrojów i sytuacji, na których tle nawet tragiczne momenty poboczne znaczenie mają. Raczej hasła głoszone przez Brodzińskiego, niż romantycy, zdają się być wskazówką dla kompozytorów operowych łącznie z Moniuszką, którego muzyka do „Dziadów” jest bardziej opisową i liryczną i nie interpretuje tragedii duszy. Ta skłonność do sielankowości osiągnęła swój szczyt w „Halce”, niemniej w „Strasznym Dworze”, któremu nie brak rycerskich momentów. Także najlepsze opery pomoniuszkowskie są mniej lub więcej sielankami: „Goplana” i „Janek” Żeleńskiego, „Młoda” Melcera, „Manru” Paderewskiego. Początek bohaterskiego pierwiastka w operze polskiej stanowi „Konrad Wallenrod” Żeleńskiego. Są tam ustępy zrywające się do śmiałego giestu, ale Żeleński — jak większa ilość polskich kompozytorów — jest lirikiem i ma prócz tego skłonność do klasycznych form absolutnej muzyki. Jego „Stara baśń”, posługująca się tu i ówdzie dykcją Wagnera dowodzi niezbicie, że pseudobohaterski ton jego muzyki ma źródło swe tam, gdzie „Mazepa” Muenheimera, t. j. w t. zw. wielkiej operze. Że zaś sielankowy mimo awym tragicznych szczegółów „Janek” jest najlepszym scenicznym dziełem Żeleńskiego, to jeden dowód więcej, że nie pełne dramatycznych zawiłak sytuacji są dla Żeleńskiego odpowiedniejszym substratem. Najlepsze stosunkowo ustępy z „Goplany” są liryczne. Tak więc operowa twórczość Żeleń-

skiego nie jest najwyższym poziomem jego twórczości w ogóle i nie stanowi zwrotnego punktu w rozwoju polskiej opery. „Janek” jest prawowitym synem „Halki”, która też nie wyrwała bez tradycji. Kierunek pozostaje więc ten sam, a tylko różni się to dzieła co do techniki i stylu właściwego ich różnym datom powstania. Jakiejś głębszej idei przewodniej, stanowiącej podstawę dramatu rzeczywistego, nie znajdujemy w żadnej z tych oper: są one zawsze tylko pogodnemi lub smutnemi obrazami z życia ludu lub szlachty. Idea Wagnera nie wywarła żadnego wpływu — co najwyżej jego czysto muzyczna technika, nieśmiało naśladowana, nigdy nie interpretowana samodzielnie. Jakby cień jakiejś zasadniczej idei przegląda z „Manru” Paderewskiego, ale tylko cień — i ta opera jest szeregiem obrazów z życia ludu, obrazem tragicznych niekiedy sielank. Do wyżyn narodowego dramatu muzycznego o bohaterskim charakterze nie wznosi się żadne z tych dzieł. A wszak tyle materiału znajdziemy w naszej poezji romantycznej, zwłaszcza u Słowackiego, którego dzieła zwróciły wprawdzie uwagę naszych kompozytorów operowych, ale tylko jako zbiory fabul. Kraśniński i Mickiewicz dostarczyłby myślicielom muzyków sporo idei do oratorium. — Epoka Wyspiańskiego wyzywała do uderzenia w bohaterski ton, do — wejścia w istotę i zbiorowy stan narodu. Czy Wyspiański znał Wagnera i jego dzieła praktyczne i teoretyczne — jak to twierdzą różni pisarze, na to dowodu niema. Ale rodzaj muzyki, jaki uznawał za nadający się do ilustrowania awym dzieł, dowodziłby, że zrozumienia dla „urodzin dramatu z ducha muzyki” nie posiadał. Ten sam fakt świadczy również i o tem, że muzycznie wybrednym nie był. W każdym razie uznając tylko za hipotezę doszukiwania się jakichś związków między Wagnerem a nim, za rodzaj gry pojęć (jako analogii do gry słów). Ponieważ akcja w części „Pierścienia Nibelungów” odbywa się na dnie Renu, zaś akcja „Legendy” na dnie Wisły, — przeto itd. Przypuszczam, że pomyślał Wyspiańskiego jest pomyślał malarskim, może zacierpniętym z francuskich lub niemieckich dzieł sztuki malarskiej, choćby nawet ilustracji, do książkowych wydań tekstów Wagnera. Jest to idea malarska przeniesiona przez malarza do jego utworu dramatycznego z tem większą skwapliwością, że, da się ona w teatrze uwidocznić. U Wagnera ta sama idea jest pogłębiona muzyką, u Wyspiańskiego tworzy ona tylko dekoracyjny efekt bez żadnego symbolicznego znaczenia. Ale Wyspiański uderza podobnie jak Wagner w ton bohaterski — w różnym tego słowa znaczeniu. Dać Polsce narodowy bohaterski dramat muzyczny — udowodnić narodowi, że nie na Sielankach, choćby ozdobionych pancierzami, polega odzwierciedlanie jego esencjonalnej polskości, lecz na bohaterstwie czynów i bohaterstwie cierpienia — to byłby czyn, który podzielałby silniej, niż wszelkie — polityczne manifesty. Byłby może... marsylianką podniesioną do wielkości — „Bogorodzicy”. Jeśli Wagner, syn „narodu myślicieli” zajmuje się w awym dziełach problemami ogólnego bytu, to nasz Wagner interesowałby się może w sposób zrozumiały (przynajmniej dla nas) kwestią bytu narodowego. Wyspiański nie mógł nie podzielać na kompozytora polskiego. Dość było sielank, o których możnaby słowami Wagnera powiedzieć: „O wie wenig gehoert zum Glueck!... Der Ton eines Dudelsackes!!!”

Może najbardziej nadawał się do parafrazy muzyczno-dramatycznej „Bolesław Śmiały”. W tekście Wyspiańskiego znajduje się wiele miejsc nie nadających się do interpretacji muzycznej. Libretto, jakie z tego dramatu skroili Bandrowski dla Różyckiego, liczy się do pewnego stopnia: z wymaganiami dramatu muzycznego. W każdym razie jest to jedno z najlepszych libret polskich. Muzyka Różyckiego jest silnie dramatyczna, i w tym względzie przewyższa wszystkie dotychczasowe polskie opery. Pisał ją Różycki jako bardzo młody kompozytor, nie

liczący się z pewnymi konwencyonalnościami, na które narażony jest każdy kompozytor operowy. Mimo to, a może właśnie dla tego, muzyka jego nie czyni kompromisów między sztuką a publicznością. Wszędzie widzimy dowody usiłowania, aby dramat muzyczny był istotnie dramatem nie zaś fabulą liryczno-nastrojową z szczegółami dramatyzmami, a uplastycznieniem walki między Bolesławem a Stanisławem Szczepanowskim, walki o wolność, mogłoby być pojęte znacznie szerzej, jeśli byśmy uznali Bolesława za symbol Polski. Kompozytor, odczuwając epokę i milieu, nie sili się, aby imitować ludowe melodie i nie dopatruje się w rytmice tanecznej jedynie możliwego środka polskości muzycznej, mimo to jednakże nie moglibyśmy uznać jego muzyki za niepolską. Zajmuje go jedynie ustawiczny konflikt dramatyczny i jemu całą uwagę poświęca. Słabe strony tekstu nie mogły nie wywrzeć wpływu na konstrukcję czysto muzyczną. Mimo to wartość muzyki jest tak znaczna, że jakkolwiek daleki jestem od narzucania kompozytorowi swego zdania, to jednak kładę nacisk na konieczność poczynienia pewnych ulepszeń i uratowania dzieła dla muzyki polskiej, w czym wielką pomocą będzie suma doświadczeń, jakie Różycki zdobył między „Bolesławem” a „Erosem i Psyche”. Niestety nie jestem w możności stwierdzenia, o ile ta ostatnia kompozycja dramatyczna Różyckiego góruje ponad „Bolesławem”. Sam wybór tekstu zdaje się przemawiać za tem, że Różycki znalazł dzieło dramatyczne, które w wysokim stopniu nadaje się do rozwinięcia nowożytnej techniki dramatyczno-muzycznej. Przekształcenie „Bolesława Śmiałego” jednakże — oby uznał kompozytor za swe najbliższe zadanie! Będzie to zbożny czyn nie tylko artystyczny, ale i narodowy. Przypuszczam również, że nieprzyjęcie „Erosa i Psyche” na scenę warszawską, mimo wielkiego sukcesu wrocławskiego, nie powstrzyma kompozytora od dalszego wiernego służenia sztuce ojczystej.

Opera i muzyka w domu (kameralna) były podstawą życia muzycznego w dawnej Polsce (także na pocz. XIX wieku); muzyka symfoniczna, wymagająca zatem istnienia sali koncertowej, jest czynnikiem najmłodszego daty.

Uderzającą jest w naszej literaturze muzycznej niezmiernie mała liczba dzieł kameralnych. Jest to rzecz dość zastanawiająca, jeśli się weźmie w porównanie muzykę rosyjską i czeską. Od samego początku „nowożytnej” epoki w naszej muzyce mieliśmy dobry przykład pod postacią wielu kwartetów i triów nauczyciela Chopina: Józefa Elslera. Ale jak na ucznia tak i na nowszych kompozytorów nie oddział ten fakt pobudzająco. Jest rzeczą zrozumiałą, że mogą się znaleźć kompozytorzy, których indywidualności nie odpowiada muzyka kameralna (np. Bruckner, H. Wolf, Wagner itd.). Jeśli jednak w jakimś narodzie przez blisko półtora wieku ilość triów, kwartetów itp. spośród przedstawia się tak bardzo uboga jak to widzimy w Polsce, to istnieć musi jakaś głębsza przyczyna lub nawet przyczyny tego przykrego stanu rzeczy. Wykluczyć tu musimy ewentualne twierdzenie, że muzyka kameralna nie leży w uosobieniu słowiańskim, gdyż ilość doskonałych utworów kameralnych, napisanych przez słowiańskich (czeskich i rosyjskich) kompozytorów, jest uderzająco wielka i cieszy się wielkiem rozpowszechnieniem w całej Europie. Brak stałego polskiego zespołu kwartetowego — zapewne, to jest ważna przyczyna i ważny brak, zniechęcający naszych kompozytorów do tworzenia dzieł kameralnych. Któż bowiem mógłby je wykonywać? Wszak na konserwatoryjne lub inne niezgane z sobą zespoły nie można liczyć, skoro swe dzieło chce się słyszeć w wykonaniu nie tylko poprawnem. Prób utworzenia takich zespołów koncertowych nie brakło. Ale — o ile jestem doborze poinformowany — rozbiły się o ostre kanty wybujałej zarozumiałości i fałszywej ambicji jednostek, które to wady stawały w poprzek między

dziełem a wykonaniem. Rzeczą jednakże niezmiernie charakterystyczną jest wielka mnogość sonat na skrzypce i fortepian (wielonczela mimo swej wielkiej śpiewności nie cieszy się jeszcze względami).¹⁾ Nie jest to bynajmniej objaw tak bardzo dodatni, jakby ktoś pragnął sądzić: albowiem dowodzi to znowu zbyt wybujałego kultu, tak jakby historia muzyki nie dawała dowodów, że kompozytorzy z silną wolą i silnym talentem są w stanie zmusić publiczność do podporządkowania się pod prawa wyższej sztuki. Że ten tłumny kult dla soliści jest wydatnie zasilany przez pozalutowania godne i szkodliwe w swej jednostronności uwielbienie dla muzyki operowej, to chyba nie wymaga osobnego dowodzenia. Niech sączy jedno porównanie: Włosi, żyjący od blisko 200 lat tylko pod znakiem opery, nie posiadali żadnej prawie muzyki kameralnej (dopiero obecnie nastąpiło małe popieszczenie), żadne też włoskie dzieło orkiestrowe nie posiada trwałej wartości. W 17 wieku wazak Włosi stworzyli muzykę kameralną i symfoniczną. Drogo więc opłacili swe bądź co bądź problematyczne choć stałe powodzenia w nadprodukcji muzyki teatralnej. Tak źle nie było u nas dawniej. Wystarczy wglądnąć w domowe, biblioteczki średnio zamożnych dworów szlacheckich, o ile są one pieczołowitością otoczone, a znajdziemy sporo triów i kwartetów (nawet z użyciem dętych instrumentów), grywanych przez rodzinę, która zapewne nie jeździła do odległego miasta, aby usłyszeć dzieła Haydna, Mozarta lub Beethovena. Nie mówię tu o magnackich pałacach utrzymujących albo małą kapelę albo mały zespół kameralny. (Dzieje naszej kultury muzycznej — choćby w 18. wieku — dowodzą wielkich kół niej zaśnuty polskich magnatów — w dawniejszych czasach). Co żadnej nie ulega wątpliwości, to przewaga dawniejszego amatora-kameralisty nad dzisiejszym, polegająca na tem, że myśl o samem dziele dominowała nad myślą o osobistym efekcie. Mniejszą też była możność słyszenia soliistów w tej ilości, jaką daje dzisiejsze życie operowe i koncertowe.

Stąd też dla poznania dzieł muzyki kameralnej należało stworzyć zespół prawie że rodzinny. W czasach dawniejszych nie istniały osobne koncertowe zespoły kameralne; te ostatnie są dopiero wynalazkiem nowszych czasów — ale równocześnie niemal z ich stworzeniem następuje nie tylko zmniejszenie się twórczości kameralnej, lecz i upadek prywatnego kultu gry na kilku instrumentach. Widoczne to jest zwłaszcza u nas, i to w wybitny sposób. Przyczyną tego jest znowu panujący ogólnie błędny sąd, że gra na instrumencie jest przedewszystkiem grą solową. Że tak jest rzeczywiście dowodzi jeszcze i to, że pianiści biorący udział np. w kwartecie fortepianowym Beethovena jest... akompaniatorem, a najważniejszą partją są skrzypce. Krytycy, tak chętnie u nas mimo swego na ogół niskiego poziomu wykształcenia patrzący z góry na artystów, powinni byli dawno już i z pewną konsekwencją pouczać publiczność o znaczeniu i dostojności muzyki kameralnej. Wieczór kwartetowy udaje się u nas tylko wtedy, gdy wykonawcami są obcy artyści. Ale i to nie zawsze ma miejsce: byłem parokrotnie świadkiem, że publiczność nie przybyła na koncert nawet zagranicznego zespołu kameralnego, mimo jego znanej doskonałości. A nie przybyła dla tego, że o danym zespole nie słyszała nic. Wniosek stąd bardzo prosty: publiczności naszej nie interesuje muzyka kameralna jako taka, lecz tylko to, że jakiś zespół kameralny jest słynny z powodu swej doskonałej gry. — Już wyżej wspominałem, iż nie brakło i dotąd nie brakuje kół usiłowań kultu muzyki kameralnej w życiu prywatnem. Charakterystycznem jednak jest, że zwykłą przeszkodą w tworzeniu tria lub kwartetu jest stale podnoszony przez ludzi dobrej woli brak wiodących i wiodonczelistów.

¹⁾ Nie posiadamy i ani jednego wielonczelisty.

Ta niesłychana ilościowa przewaga amatorów-skrzypków, przy nie dającej się wprost wyobrazić małej ilości przedstawicieli gry na altówce i wiolonczeli, nie jest znowu niczem innym jak tylko dowodem, że kult dla gry solowej jako dającej możliwość odniesienia sukcesu osobistego i dogodzenia próżnej niejednokrotnie ambicji, jest ze szkodą dla muzyki wyższego typu zbyt zakorzeniony w naszym społeczeństwie. Jednakże i ta niezwykła jednostronność nie jest zużytkowana należycie, o czym mogą wiele powiedzieć kierownicy orkiestr, posługujących się z konieczności pomocą amatorów. Nie dziwnego zatem, że z zakresu twórczości kameralnej mają u nas przewagę sonaty na skrzypce i fortepian. Prawie każdy mniej lub więcej solidnie wykształcony kompozytor napisał przynajmniej jedną taką sonatę: Żeleński (2), Józefowicz, Stojowski, Paderewski, Fitelberg, Szymanowski. Mimo takiej ilości skrzypków należy u nas do największych rzadkości wykonanie jednej z tych sonat. Najczęściej jeszcze jest uwzględniana sonata Szymanowskiego, jako najwartościowsza pomiędzy niemi. Gorzej znacznie rzecz się ma z triami i kwartetami (kwintet lub sektet smyczkowy są u nas chyba nieznanne).

Żeleński napisał kilka dzieł tego rodzaju i rzecz można bez przesady, iż od czasów Elsnera jest to jedyny kompozytor, który pracuje na tem niewdzięcznym u nas polu — pojedyncze próby nie wchodzą tu nawet w rachubę, jako efemeryczne zjawiska. Prócz Żeleńskiego wymienić można jeszcze tria Paderewskiego, Melcera, i próby młodszej generacji, o której będzie mowa wkrótce. Utwory kameralne Żeleńskiego posiadają niewątpliwie dobrą fakturę, jako oparte na wzorach najlepszych klasyków i romantyków, z których pewne pomysły melodyjne i techniczne przeszczepił Żeleński na nasz grunt. Także nie możemy im odmówić powagi intencji. Ale rodzaj stylistyki muzycznej Żeleńskiego należy do dawno minionej epoki, w obec czego, jak również w obec braku żywego kolorytu, nie możemy ich nie uznać za dzieła wytrawnego epigona klasycyzmu. Świeższe technicznie wieje z dzieł kameralnych Paderewskiego i Melcera, ale niewątpliwie sami ci twórcy nie uznają ich za swe główne utwory. — Cała prawie twórczość najmłodszej generacji wybitnych talentów obraca się w zakresie muzyki orkiestrowej, fortepianowej i wokalne (pieśń solowa). Karłowicz był (pominąwszy młodociane pieśni) symfonistą par excellence. Jego koncert skrzypcowy (zdaniem największych skrzypków) należy do najlepszych dzieł nowożytnych tego rodzaju, ale nie

jest nawet wybitnem jego dziełem w porównaniu z utworami na orkiestrę. Trio Fitelberga jest bardzo wczesną kompozycją tego bardzo wybitnego talentu, jakkolwiek lepszą niż dawniejsze polskie tria. Ale i Fitelberg dał swą najlepszą część w utworach orkiestrowych. Szymanowski ograniczył się do wspomnianej powyżej sonaty skrzypcowej. Różycki dość późno stosunkowo, t. j. po napisaniu swych znanych już poematów symfonicznych i dwu oper, stworzył swe trio i kwintet. Są one z wielu względów interesujące: kompozytor nie tworzy w stylu ściśle kameralnym, nie idzie w kierunku ścisłej formy (dającej się — jak dowodzą dzieła Regera — pogodzić z nową treścią), lecz zajmuje się raczej problemami dźwiękowej barwy w zakresie zespołu kameralnego, obiera zaś formę zupełnie swobodną, zbliżoną do fantazyi. Można by ten rys uznać za wyraz słowiańskiego temperamentu, gdyby nie fakt, że tę swobodę w stylu kameralnym znajdujemy w muzyce romańskiej, a zwłaszcza francuskiej. Zresztą dopatruję się w odniesieniu do Różyckiego i jego kameralnej muzyki wpływu poematu symfonicznego, a dowodzą tego liczne usiłowania w kierunku wywoływania brzmień orkiestrowych mimo skromnej kameralnej obsady. Jest w Różyckim więcej malarza, niż architektury muzycznego. Przeciwną drogą dąży Szymanowski, przynajmniej dotąd. Przewaga refleksyj i bujniejszy rysunek polifoniczny, ściślejsza forma i trzymanie fantazyi na wodzy, aby ją mózgi pogłębić — to widzimy już w wspomnianej sonacie skrzypcowej, choć i ona jest jednym z wcześniejszych dzieł Szymanowskiego. Czy muzyka polska kameralna pójdzie w kierunku reprezentowanym przez Różyckiego, czy w przeciwnym, to obiektywnie nie da się przewidzieć. Raczej można w obec budzącego się, dzięki wielkiemu Regerowi powrotu do ściśle muzycznej architektury, przypuścić, że ten neoklasycyzm nie wykluczający najśmielszych rzutów myśli nowoczesnej — że tak powiem — ideologii muzycznej, pobudzi naszych kompozytorów do pójdęcia w ślady kierunku, który właśnie w znaczniejszej mierze uwzględnia twórczość kameralną. Jak długo jednak nie będziemy posiadali jednego przynajmniej doskonałego własnego zespołu kameralnego, któryby zaznajamiał nasze społeczeństwo z 'obcą i polską wybitną twórczością kameralną, tak długo będziemy pozostawali daleko w tyle poza kulturą muzyczną Czech lub Rosyi, nie mówiąc już o krajach, w których brak tego rodzaju nie dałby się nawet pomyśleć. —

(C. D. N.)



DOSTOJNE SERCA.



Są serca, co były ongi jak smutki,
na skalnej grani, na żłebach wiszące:
gdy przez nie nocą przeleciał wicher halny,
dziś na dnie jaru — upiorne, milczące —
legły na gładkiej granitów pościeli
i śnił o dawnej wielkości i chwale,
gdy królowały wicherom i turnicom,
nad parowami wiszące na skale;
gromy im pieśni warczały — czerwone —
Są serca harde, ze szczytów strącone...

Za młodość górną, za życie na szczytach,
w czelusć przepaści spią strącone czarną:
że królowały turniom w nieb błękitach,
gdzie wichry pędzą nawałą mocarną,
legły pod ciosem gromów — zdruzgotane —

Serca dostojne — harde-zapomniane...

JAN CHEŁMIRSKI.



MISCELLANEA.

DUCH DZIEJÓW POLSKI. Antoni Chołoniewski.
(Nakładem autora. Kraków 1917.)

Znamienne jest, że wśród epokowych wstrząśnień, jakie obecnie przeżywa naród polski, powstały dwa dzieła o niesłychanej dla nas i dla obcych doniosłości. Mamy wrażenie, że obadwa te dzieła wytrzymały z łona narodu niepomąganą a długo więzioną siłą. Dwa głosy te, to tłumiony nazbyt długo, silny odruch wewnętrzny, poszukujący gorączkowo narodowego ducha Polaki. Ni jeden, ni drugi nie nosi w sobie znamion zimnych rozważań, historycznych zestawień ani analitycznych refleksyi.

Bo też tą drogą prawdopodobnie nie dotarłyby do tajników na dnie duszy narodu spoczywających a przysłoniętych dla umysłów i serc dzisiejszych gęstą mgłą najprzeróżniejszych przesądów, wierzeń, doktryn i stronniczości, materializmu i wazéchwładnego dziś jeszcze pozytywizmu.

Dwa te dzieła — to „Szlakiem duszy polskiej” — Stanisława Przybyszewskiego¹⁾ i wyżej wzmiankowane „Duch Dziejów Polski” — Antoniego Chołoniewskiego. Pierwsze rozwija też

¹⁾ Nakładem Spółki wydawniczej „Ostoja” Poznań 1917.

twórczego ducha polskiego, opierając się przedewszystkiem o dziejowy pochod literatury naszej¹⁾, drugi zaś wziętym a trzecim sposobem maluje nam istotny pierwiastek ideowo-społeczny naszego narodu, pierwiastek, o który ojcowie nasi oparli byt narodu, pierwiastek, z którego wzięły swój początek losy Polski, ukształtowanie się wewnętrznych jej ustroju i jej stosunków do narodów ościennych, pierwiastek, po linii którego toczył się bieg historyczny od państwowego zarania, aż po dzień dzisiejszy.

Dumni jesteśmy na tysiącletnią naszą historię; w maluczkości naszej wielcy się czujemy na wspomnienie Grunwaldu, Pakowa, Chocimia, Grochowa, a bezbrzeżny ból ściśa piersi nasze, skoro myśl z przejaśnej przeszłości powraca w czarną nędzę dnia dzisiejszego. Szukamy pomaty; pomaty choćby jeno w myśli, choćby jeno w słowie. Każdy z nas szuka winowajcę według szablonu, w którym się wychował, albo który wytworzyły warunki jego środowiska. Żal, nieraz bluźnierczy żal do ojców i dziadów, nienawiść stanowa do dominującej wówczas warstwy społecznej, opłwanie tronu, szydzenie z „złotej wolności”, przesmiwanie tolerancji, urąganie wstrętowi ówczesnemu do zaborczości, a co zatem idzie, przeciwmilitarnej idei — oto wyniki bezustannego rozpoznania straszliwego upadku.

Nie jest to szukaniem istotności polskiego ducha ani nawet powodów upadku — to szarpanie się powalonego o ziemię kadłuba. W rozpacz jeliśmy się oglądać na resztę świata, na szczęśliwe potężne państwa i narody, a skoro mało, lub wcale jęku naszego nie słuchano, nowa ogarniała nas gorczy. I niejednokrotnie płaszczyliśmy się obcym i nastawialiśmy bacznie ucha, żali nas słysząc, żali ochlap swęj łaski cianąc nam raczą.

Niewola upadła.

W upodleniu zapomnieliśmy o narodowej przeszłości albo jako mgliste baśnie przekazywaliśmy ją cichaczem naszym dzieciom. Wtem — grom losów uderzył, a pod jego siłą wstrząsnęły się ludy całego globu, w narodzie polskim buchnął snop miliardowych iskier i rozplomienil dusze do tej jasności, że zniknęła gdzieś ona mgła szara, co to dzieliła nas od jasnej i wielkiej przeszłości — że przeszłość i chwila obecna jedną się stały i jedną tworzyć będą po dalsze wieki. Geniusz polski rozjaśniał w pełnym blasku a głos jego, słyszany ongi tylko w Polsce, dziś rozbrzmiewa w całym świecie, w tym świecie, co to walczy do upadłego o złotą wolność człowieka.

Nikt inny, jeno geniusz polski twórca jest idei, o które dziś, po wiekach ich narodzin, ludzkość walczy krwawo. Nasze hasła, do których dojrzelismy przed wiekami a któremi padliśmy chwilowo, bo do nich nie dorosła reszta ludzkości, te hasła nasze są dzisiaj hasłami całego świata, wypełniają dziś ducha kuli ziemskiej. I dalej zbierać mamy łaski ludów, gdy nasza idea wiedzie ich do walki i wiedzy do zwycięstwa?

Nie Grunwaldem, ani Kirchholmem, nie Wiedniem ani Grochowem szczyć się, ducha polski, jeno swą ideą, którą zaszczylił w ludzkość, a która dziś dojrzewa!

Książka Antoniego Chołoniewskiego, to wielki głos narodowego ducha, który w tej oto chwili dziejowej musiał się odezwać. A odezwał się nie w celu wywalczenia przyznania sobie słuszności, ani w celu uzyskania sobie dobrotliwej pochwały wielkich narodów. Odezwąć się musiał bez małostkowego celu, jako konieczny odruch istoty narodowej Jaźni, jako objaw dziejowy, w którym Naród wzywał do pojmuje byt swój miniony, byt ducha dzisiejszego, byt Jutra jako jeden nieprzerwany, prawem odwiecznym ustanowiony ciąg pełnego swego życia.

J. H.

U P O R T Ó W. Teodor Iwanowicz Tjutezew ur. 1803 r. należy do największych liryków, jakich Rosja wydała; mimo, że tylko bardzo nieliczne pozostawił po sobie utwory. Gardził właściwie swoją poezją — „każde słowo wymówione wydało mu się kłamstwem” — „każde źródło odkryte — zamąceniem czystości wody”, jedynie przypadkowi ma Rosja do zawdzięczenia, że twór jego nie zaginął w koszu do papieru, do którego przywydł rzucać swoje poematy, pisane na akrawkach papieru podczas nudnych zajęć, które apelował jako sekretarz ambasady przez

lat trzydzieści w Monachium. Przełożony jego wydobyl z kosza to zdumiewające bogactwo z ukrycia i nakazał mu je jako swemu podwładnemu wydrukować. Allicj korekta wróciła nierozpieczona do Petersburga z powrotem, zajął się nią dopiero wielki Puszkina, który w uniesionym zachwycie stanął przed drobnym tworem Tjutezewa jak przed objawieniem. Poematy jego cechuje niesłychanie skupione wsłuchiwanie się w najtajniejsze tajemnice natury, trwoga i paniczny lęk przed ogromem jej objawień, które „wstrząsają do dna dziewczęcą duszę poezji w wiejszych snach, w onej dziwnej godzinie, kiedy wazech świat w milczeniu pograżon spoczywa a w tym czasie widzeń i cudów poprzez świętość nieba otwarty wóz Stworzenia się toczy...” Nie dziw więc, że ten twórca, który wraz z St. Martinem zdawał się uznawać tą prawdę, że nie należało pisać wierszy, a zrobiewszy pierwszy Cud — przywiązywał wazę jedynie tylko do swych politycznych artykułów, ogłaszanych w „Augsburger Allgemeine Zeitung” i bardzo nędznych politycznych pamfletów. I jako ultra-reakcjonista polityczny w liberalnej po on czas Rosji doszczętnie niemal pokłotowany, umarł na obczyźnie, gdzie prawie całe życie swoje spędził — w zupełnym zapomnieniu 1875 r. Dopiero młoda Rosja, a głównie Mierzkowski wydobyl Tjutezewa z tego „in pace” i teraz dopiero objawił się geniusz poetycki Tjutezewa w całym istotnym, niespożytym blasku, a uwielbienie Młodej Rosji, które każę jej stawiać liryczny twór Tjutezewa na wyżynie tegoż tworu Goethego, nie zdaje się być wcale przesadnym.

DYSKUSYA, wywołana odczytem *Stanisława Kubickiego* na walnem zebraniu „Ostoj” (dnia 28 września r. b.) poczęła zagłębiać się w stary a jednak wciąż nowy problem stosunku twórcy do społeczeństwa. Mówimy „poczęła się zagłębiać”, ponieważ istotnie jakby zbrakło obecnym odwagi do spojrzenia otwartymi oczami w twórczości oblicze. Mimo to dyskusya pozostawiła ciekawe refleksye, któremi przecież Poznań tak rzadko się cieszy.

Od twórcy żądano umoralniającego, unaradawiającego i krzepiącego ducha oddziaływania na czytelnika. Zarzucano dzisiejszym autorom twórcy egoizm, brak szlachetnych tendencji — słowem przepisywano twórcy jak powinien tworzyć.

Koncepcji tej przeciwstawili się szereg głosów, z podród których najłatwiej zaznaczyć się akcent, krystalizujący się w zdaniu: chwila twórcza to chwila szalu, w której twórca nie zastanawia się nad wpływem, jaki wyrzuci może szal jego na jednostkę, będącą częścią gromady stworzeń złączonych różnymi interesami materialnymi — gromady, zwanej społeczeństwem (odróżnić tu należy pojęcie społeczeństwa od pojęcia Narodu) — dalej: twórca społeczeństwu nie nie jest winien, ale winne jest wiele społeczeństwu twórcy. Temat — zda się — zbyt śliski i zbyt jawił się niespodzianie; to też zbrakło odwagi do pogłębienia go w dyskusyi owego wieczoru.

Kwestyę stosunku autora do społeczeństwa i na odwrót postaramy się w piśmie naszym omówić możliwie wyczerpująco.

Na kilka zapytań wytosowanych do nas z kół literackich czytelników: dla czego „Zdrój” nie stosuje „nowej” ortografii? — odpowiadamy, iż w zasadzie pozostawiamy autorom swobodę pisowni, która jest jednym z znamion autorskich.

Redakcyja zaś sama dotąd nie posługuje się „nową” pisownią, gdyż nie chce wprowadzić dowolności w tym względzie. Wobec licznych bowiem projektów i nierozstrzygniętych sporów co do zmian pisowni, jest rozbieżnością nieunikniona do czasu ostatecznego ustalenia naszej ortografii przez czynniki kompetentne.

Redakcyja.

ERRATA. W zeszyte 2-gim przeprowadzono z winy niedopatrzności mylną paginację. Zamiast: str. 1—32 ma być: str. 33—64.

¹⁾ Działo to omówiny w jednym z następných zeszytów „Zdroju”.

ATELIER REMBRANDT

właśc. S. Dobska

Zakład fotografii artystycznej

Tel. 5430

Poznań, ulica Berlińska 4

Tel. 5430

Nowości zimowe

Kostiumy	od 30 do	550 M.
Spódnice	15 "	190 "
Ulstry	38 "	360 "
Paletoty aksam. i plusz.	90 "	1200 "
Suknie	60 "	300 "
Bluzki	18 "	100 "
Halki	12 "	80 "

Płaszczki futrzane, Futra
sportowe od 200 do 2000 M.
Garnitury futrzane
od 60 do 1400 M.

M. MALINOWSKI

Najwięk. specjalny magazyn okryć damskich
Poznań, Stary Rynek 57, parter i I piętr.

STARE WINA WĘGIERSKIE

z roku 1880, 1883, 1890 itd. szlachetne
krescencye magnackie w 1/2 gąsiorkach

również

słodkie wina czerwone i żółte,
wytrawne węgierskie, samorodne,
czerwone francuskie, czerwone hiszpańskie,
burgundzkie, mozelskie, reńskie, heskie

Hurtownia win
B. Kasproicz w Gnieźnie.

Fortepiany, pianina i harmonia.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorządne,
także Bechsteina, Berdixa, Steinwega, Schiedmayera, Hinkla, Horügla, Burgera itd.

Karol Ecke w Poznaniu, ul. Wiktorji 19
założ. 1843

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.



„OSTOJA” Spółka Wydawnicza w Poznaniu

Plac Wilhelmowski nr. 17 - - - - -

poleca swe wydawnictwa:

J. KASPROWICZ:	Sita, indyjski hymn miłości	5,20
ST. PRZYBYSZEWSKI:	Szlakiem duszy polskiej	6,50
A. NOWACZYŃSKI:	Pułaski w Ameryce	6,50
TEODOR TYC:	Facecje z dawnej Polski	3,60
BERNARD CHRZANOWSKI:	Z wybrzeża i o wybrzeżu	2,00
KS. SZYDELSKI:	Kult ogniska domowego i przodków	1,00
W. GOMULICKI:	Pamiętki Kościuszkowskie	4,80
TADEUSZ KONCZYŃSKI:	Raj odzyskany, powieść	5,40
W. PERZYŃSKI:	Bajki dla dzieci	w druku
ŻUK-SKARSZEWSKI:	Pustka, powieść	„
TADEUSZ KONCZYŃSKI:	Blaski miłości, powieść	„
WŁADYSŁAW ST. REYMONT:	Nowele	„
J. KASPROWICZ (spolszczył):	Księżyc przybierający. RABINDRANATH TAGORE	„
W. BERENT:	Opowieść rybaltą, powieść	„
M. SZYJKOWSKI:	Literatura polska	„
Dr. ST. SERKOWSKI:	Bakterjologia	„
RAWITA-GAWROŃSKI:	Ostatni Chmielniczenko	„
AD. NOWACZYŃSKI:	Szkice literackie	„
W. GOMULICKI:	O Towiańskim	„

 **Dzieła powyższe nabyć można w wszystkich księgarniach** 

Skład główny na Król. Polskie Gebethner & Wolff w Warszawie. - Skład główny na Galicyę Gebethner i Spółka w Krakowie

W. MIZGAŁSKI Poznań - Bazar

Magazyn bławatów, konfekcji damskiej i futer

poleca na sezon zimowy

Gotowe futra

- „ garnitury futrzane
- „ płaszcze
- „ kostiumy
- „ suknie
- „ szlafroczy
- „ bluzki
- „ czapki sealowe

Własne pracownice

skunksy, seal bisam, opossum, bobry, nutria, karakuty, żrebce, popielice, bieliski, chinchilla, gronostaje, sobole, nurki, tomaki, wilki, lisy białe, patagońskie, mongolskie etc. w wielkim wyborze.



Wykwintną brylantową biżuterię, znakomite zegarki

poleca

W. SCHULZ w POZNANIU

— Nowa ul. 8., w Bazarze. — Tel. 1484. — Rok założ. 1873. —

